

Nr. 31. ■
1.VIII.1931

V-4826/ Wp. Gornowski,
26

ŚWIAT

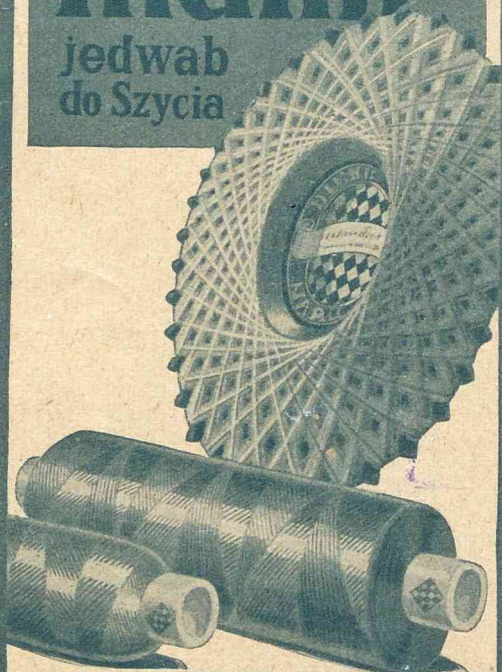
CIUCHIERNIA
Fabryka Cukrów i Czekolady
i SERADENI
w Cielistoku.



w alba pny brance

Güter mann

jedwab
do Szycia



RENTGENOLOGICZNY ZAKŁAD

PRZY

Lecznicy Związkowej Lekarzy Specjalistów
Marszałkowska 98, róg Alei Jerozol.

TEL. 676-64

ZDJĘCIA, PRZEŚWIETLANIA, NAŚWIETLANIA
PORADY WE WSZYSTKICH SPECJALNOŚCIACH
ANALIZY. DIATERMIA. LAMPY KWARCOWE

REKLAMA JEST DUSZĄ HANDLU

ZE ZMARSZCZKAMI, PIEGAMI,

PODBRÓDKAMI I ZŁĄ CERĄ PAŃ NIE BĘDZIE.

Panie chcące po. być się zmarszczek, pie-
gów, podbródków, mieć na-
prawdę ładną
cerę, łabędzią szyję i kla-
syczny owal twarzy, pofatygują się od
11 do 8, pracujące panie w niedzielę od 2-jej do 7-jej

HOŻA 41—7. PADEREWSKA ZOFIA LUDWIKA

HUMOR

Lekarz u łóża pacjenta:

— Gdyby chory stracił poczucie świa-
domości, niech pani wleje mu w usta po-
rządną porcję koniaku...

— Nie mogę. Mąż obraziłby się na
mnie, nie darował nigdy.

— To jest potrzebne dla jego zdrowia!

— Wobec utraty świadomości, żałował-
by uczciwego trunku.

*

Miedzy przyjaciółmi:

— Podoba mi się twoje mieszkanie.
Ile też płacisz swojej gospodyni?

— Niewiele, lecz za to często. Ilekroć
mnie spotka, zawsze upomina się o ko-
morne!

— A więc płacisz ratami?

— Obiecuje.

*

Egzamin z prawa karnego:

— Jaka jest najwyższa kara za bi-
gamję?

— Dwie naraz teściowe, panie profeso-
rze...

*

W sklepie z aparatami radiowymi:

— Czy przez ten aparat mogę się łą-
czyć i z oddalonymi stacjami?...

— Naturalnie. Jaką stację pani sobie
życzy?

— Madryt...

— Proszę... Jest Madryt.

— Nic nie słyszę! Same zgrzyty i świ-
sty...

— Nic dziwnego: Stacja w Madrycie
nadaje rewolucję.

*

— Podobno żona opuściła pana?...

— Tak, przed trzema dniami...

— Co też powiedziała panu na poże-
gnanie?

— Nie zapomnij zapłacić za nowy ka-
pelusz!

DRUKI SĄ TWOIMI PRZEDSTAWICIELAMI
WYKONAJ JE GUSTOWNIE!



ZAKŁADY DUKARSKIE

GALEWSKI i DAU

WARSZAWA ORDYNACKA 6

SPECJALNOŚĆ : DRUKI REKLAMOWE

Dr. med.

Konstanty Glazórb. Asystent Kliniki chorób wewnętrzz.
Uniw. Jagiell.LEKARZ ZDROJOWY, SPEC.
CHORÓB WEWNĘTRZNYCH
I PRZEMIANY MATERJI

Marienbad, Hotel Imperial

Tel. Nr. 2074

**ROK
XXVI**

ŚWIAT

- NR -
- 31 -

WARSZAWA, DNIA 1-go SIERPNIA 1931 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

**KREMY***Ogórkowy, Lanolinowy,
Wazelinowy, Philodermina.**z przyjemnymi i rykninnymi zapachami
wybielają i udelikatniają skórę*

WYROBU LABOR. CHEM. FARM. APTEKI

M. Malinowskiego

ul. Chmielna 4, w WARSZAWIE, ul. Nowy Świat 31.

**CHOROBY PŁUC**Stosowany przez PP. Doktorów „Balsam Thio-
colan Age”, przy gruźlicy, bronchicie, kaszlu,
ułatwia wydzielanie się płwociny, wzmacnia orga-
nizm i samopoczucie chorego, powiększa wagę ciała.

SPRZEDAJĄ APTEKI.

Zadajcie tylko w oryginalnym opako-
waniu A. GASECKIEGO**CZEKOLADA MLECZNA
WEDLA
O WYBITNYM SMAKU MLEKA**

KARPINSKIEGO

DENTOLINWYTWORNA, DROBNOZIARNISTA
»» PASTA do ZĘBÓW ««

„Bronią się jeszcze twierdze Grenady”

W całym szeregu krajów euro-
pejskich zaszło słońce wolności.Tak jest, niestety! To — już nie
przenośnia; jest to surowa i twarda
rzeczywistość, pod której jarzmem
uginają się miliony mieszkańców
Europy, a w ich liczbie narody, u-
wieńczone chwałą tysiącletniej cy-
wilizacji, narody do niedawna je-
szcze niosące u czoła gwiazdę po-
stępu, nowatorstwa i kultu swobód
obywatelskich.Oczywista, nie wszędzie jeszcze
zwycięski sztandar swój zatknęły
ręce czarnej lub czerwonej tyranii.
Strzeżmy się zwątpić o tem, że
istnieją na mapie Europy granice,
a zwłaszcza granice w obrębie du-
szy ludzkiej, których nigdy nie
przekroczy ani żelazny topór fasz-
ystowski, ani pożarny sierp bolsze-
wizmu!Niezlomni wyznawcy zasad zdo-
bytych i przekazanych przez rewo-
lucję francuską powołują się i ma-
ją, niewątpliwie, prawo powoływać
się na owe rozległe twierdze libe-
ralizmu i demokracji, jakimi wciąż
jeszcze są dzisiejsza Anglja i Fran-
cja. Ale najzarliwsi wyznawcy wol-
ności tracą już pewność siebie, gdy
stają na progu burzliwego chaosu
Niemiec. Jeżeli przyszłość świata,
jaki z chaosu tego się wyłoni, stoi
pod znakiem zapytania, to jeden fe-
nomen w tym chaosie stoi poza na-
wiasem wszelkich pytań i wątpliwo-
ści: fenomenem owym jest zastras-
zający a niepowstrzymany ubytek
sił i dążeń wolnościowych. Wyka-
zały to ostatnie, zeszłoroczne wy-bory niemieckie z dnia 14 września,
które dziewięciokrotnie pomnoży-
ły w parlamencie berlińskim stron-
ników obrozy hitlerowskiej.— Ludzie wolni u nas są na dro-
dze do zaniku — pisał Otto Lehrer,
nazajutrz po wyborach, w „Vossi-
sche Zeitung”. — Jeśli istnieje rzecz
głęboko i stanowczo decydująca o
rozwoju Niemiec, to rzeczą taką
jest powszechna zależność, w jaką
popadł ogół ludzi, nie tylko w dzie-
dzinie politycznej, ale szczególnie
w hierarchji gospodarczej... Ludzie
t. zw. zawodów wolnych stali się
funkcjonariuszami; drobni przed-
siębiorcy zależni są od banków i
trustów, te zaś ostatnie z kolei po-
zostają w służbie zagranicy oraz
rynku światowego. Wytwarza się w
ten sposób budowa o gigantycznej
sieci uzależnień, w której sama po-
tęga staje się anonimem, tracąc
wraz z imieniem oblicze ludzkie i
określony charakter. Tłum poszu-
kuje przywódców, aby znaleźć od-
siecz i ratunek przed jarzmem.
Lecz przywódcy, którzy swe godła
zachwalają, ofiarować mogą tylko
zamianę jednej niewoli na drugą,
jeszcze dotkliwszą...Francja? — W tej kuźni swobód
obywatelskich, jak dotąd, płomień
wolności nie gaśnie. Strzeże go in-
stynkt powszechny, zasila go plon
doświadczeń dziejowych, chroni go
mądrość i umiar narodu, który spo-
glądał w słońce Austerlitzu, który
potem patrzył na pożar Moskwy i
który dziś chwałę największego
zwycięstwa uczcił w prostym zni-

czu, zapalonym na grobie nieznanego żołnierza. Narodowym hymnem Francji wciąż jest pieśń rewolucji, która kruszyła więzy jednostek i ludów. Jej świętem narodowym wciąż jest dzień 14-y lipca, w którym niegdyś padły mury Bastylji: legendarnego symbolu panowania człowieka nad człowiekiem.

Jeśli więc chodzi o Francję i o ten skarb wolności człowieka, jaki się z imieniem jej skojarzył, mamy niezachwiane prawo twierdzić, że „broni się jeszcze twierdza Grenady” — i kapitulować nie zamierza. A jednak... A jednak, jakże nie wierzyć świadkom naocznym, gdy zapewniają, że i w tej warownej „Grenadzie” taś się „zaraza”, i gdy do liczby tych naocznych świadków należą tak wytrawni, sumienni obserwatorzy życia swego kraju i zarazem tak klasyczni reprezentanci wolnościowej myśli francuskiej, jak Daniel Halévy.

Już sam tytuł jego ostatniej książki: „Décadence de la Liberté” (1931) — „Upadek wolności” — bije, jak dzwon, na trwogę! Konkluzje zaś, któremi znakomity ten pisarz książkę swą zamyka, są niemiennie niepokojące od jej tytułu. Cóż, że płomienne dźwięki Marsyljanki urągają widmom dawnych obalonych tyranów?

— Wszystkie polityczne i społeczne warunki — pisze Halévy — są już w komplecie, by nową stworzyć tyranję: wychowane w liberalizmie klasy upadają, a upadek ich pociąga w przepaść i urządzenia, które powołały one do życia; wielki przemysł zrzesza nieprzeliczone masy ludzi, aby tem snadniej ćwiczyć ich w posłuchu przez dyscyplinę pracy.

Te wielkie rzesze ludzi, skoszarowanych w rygorze karności, rzesze coraz bardziej mechanizowane, coraz srożej nękane terorem bezrobocia, czyż to nie utajony zbiornik sił, pozostających do dyspozycji jakiegoś przyszłego samowładcy?

Ale, obok sił, wyrastają i gotowe narzędzia tyranji: oto — prasa, bijąca swe miljonowe nakłady; oto radio, oto kino, środki wszechmocne, uniwersalne i niezrównane, jeśli chodzi o urabianie i opanowywanie tłumów aż do najtajniejszych drgnień ich żywiołu.

Jeśli więc mamy prawo mówić, że w Europie duch wolności jeszcze żyje, to obowiązek nakazuje nam stwierdzić, że nawet we Francji — jak ostrzega Daniel Halévy — duch

ten jest chory i poważnie zagrożony.

Wiatr naszej epoki dmie przeciw liberalizmowi, jak sto pięćdziesiąt lat temu wydymał jego żagle.

Wiek XVIII, całym pędem biegnąc ku wolności, skarżył się, że jej posiada tak mało. Niewdzięczny: nie spostrzegał, że on to właśnie cieszył się nią najbujniej!

Cieszył się jej rozkwitem w swoich salonach, w swoich teatrach i kabaretach, w swoich obozach, na ulicach i placach swoich miast. W jeszcze wyższym stopniu znał ją i posiadał w różnorodności typów swej kultury i swego życia: życia żołnierza, urzędnika, pisarza, rzemieślnika, filozofa, magnata.

— Tę wolność, która podówczas
świtała Europie, jak brzask nadziei,
wiek XIX — pisze Halévy — posta-
nowił ponieść w masy, przerobić na
chleb i światło demokracji.

Na szlaku usiłowań tych — ktoś temu zaprzeczy? — dziadowie i ojcowie nasi niejednem pięknem pochlubić się mogli powodzeniem. Ale wiek XX, zwłaszcza zaś okres obecnie wstępującego w życie pokolenia, gwałtownym ruchem odmienił kierunek marszruty. Zda się, jakoby

OTWARCIE PARLAMENTU HISZPAŃSKIEGO



ALKALA ZAMORA, SZEF REPUBLIKI
HISZPAŃSKIEJ, UROCZYŚCIE OTWIERA
POSIEDZENIE KORTEZÓW, MAJĄCYCH
UCHWALIĆ KONSTYTUCJĘ NOWEJ RE-
PUBLIKI I UPORZĄDKOWAĆ WSZYST-
KIE JEJ SPRAWY

zatracał coraz beznadziejniej i pojęcie i smak wolności. Całą istotą swego życia, ogromem swoich liczby, bezwładem swoich kompleksów odwraca się on od ustrojów wolnościowych lub załamuje się pod ich ciężarem.

✻ ✻ ✻

Tak, bronią się jeszcze twierdze Grenady! Duch wolności nie uległ! Europa, obleżona pierścieniem tyranji, jakgdyby w nieodpartem przeświadczeniu, że, zapierając się wolności, musiałaby wyprzeć się samej siebie, tem gorętszą otacza ją troską, im szczuplejszy zastęp szermierzy dostrzega pod jej znakiem.

Chmurą troski wieńczy swe studjum i Halévy. Rozmyślając o losach tej wyniosłej cywilizacji, której rozwój niemal dosłownie utożsamia się z rozwojem wolności, przytacza on starą klechę orientalną, z której wyziera i chłód lęku i żar przepowiedni.

W klechdzie tej jest mowa o pewnym dostojnym skazańcu, osadzonem na śmierć; skazańcu, którego sułtan chce, nawet w kaźni, zaszczytnie wyróżnić i w tym celu każe wołać kata aż z dalekich stron, z głębin Azji, najzręczniejszego kata monarchji.

Mistrz przybywa, skazaniec kłeka na szafocie. Kat dobywa lśniącego miecza, próbuje go, wywija nim w powietrzu, kreśli błyskawice z zawrotną szybkością. Skazaniec spogląda, podziwia, zdumiewa się.

— A ja? — pyta.

— Schyl nieco głowy, — poleca mistrz w czerwonym stroju.

Skazaniec spełnia zlecenie i — o, niespodzianko! — jego schylona głowa toczy się, upada na ziemię. Mistrz odrąbał ją tak lekko, że skazaniec nawet się nie spostrzegł.

— „Nasza wolność“ — podejmuje Halévy wątek swojej myśli — „być może...”

I na tym wielokropku zamyka się treść książki.

Pisarz nie kończy swej myśli. Ostatnie jego zdanie urywa się, jak gdyby ucięte mieczem.

Lecz to, że myśli swej nie dopowiada do końca, że nie miał odwagi wyrazić jej prosto, że szukał dla niej osłony w bajce wschodniej: to, właśnie, udziela i jego wywodom i jego wróżbom dreszczu najprzenikliwszej wymowy.

W. Rzymowski



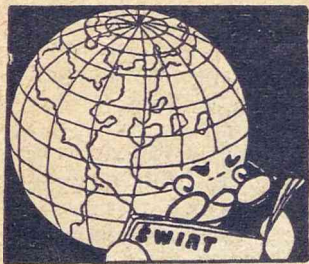
Koreańczycy z nienawiści do Chińczyków burzą ich sklepy, palą ich dobytek. Jest to odpowiedź na zamachy chińskie przeciw Koreańczykom w Mongolji.

Po londyńskiej konferencji, która obradowała nad ratowaniem finansów niemieckich. Przedstawiciele siedmiu wielkich mocarstw: (1-szy rząd) Mellon (St. Zjed.), Laval (Francja), Mac Donald (Anglia), Stimson (St. Zjed.), Henderson (Anglia). Między Mac Donaldem i Lavalem, Briand (Francja), w środku Brüning (Niemcy), na prawo Grandi (Włoch).

Król Iraku Feisal bawi obecnie w Berlinie. Elegancja jego budzi powszechne zaniepokojenie.

Tanki niemieckie na manewrach „Reichswey”. Traktat wersalski zabrania posiadania ich przez Niemców.





TYDZIEŃ ŚWIATA

(V.). Pp. Brüning i Curtius powrócili z podróży do Paryża i Londynu z pustą kieszenią. Francuzi nie chcieli dać pieniędzy bez poważnych gwarancji politycznych i finansowych; Anglicy daliby chętnie, ale sami nie mają i z trwogą patrzą, jak aeroplany całymi tonnami przewożą złoto z Londynu do Paryża. Amerykanie myślą tylko o jednym: jakby wycofać z Niemiec pożyczone kapitały i nie zrujnować swego dłużnika. Stąd też zrodziła się nad Tamizą dowcipna myśl proporcjonalnego rozdziału należności od Niemiec między wszystkie mocarstwa, innymi słowy — Francja miała Ameryce zapłacić nieściągalne od Niemców długi. Ale ten dowcip wydał się p. Lavalowi niesmacznym.

Skończyło się więc w Londynie na obietnicy odroczenia niektórych krótkoterminowych obligów, płatnych w lipcu, na dalsze trzy miesiące, oraz na platonicznym wezwaniu do niewycofywania kapitałów z Niemiec. Tylko bankierzy zwykli słuchać rządów swych wtedy, gdy mogą coś zarobić, jeśli zaś grozi strata — puszczają najgorętsze życzenia polityków mimo uszu.

To też położenie Niemiec po podróżach zagranicznych kancle-rza Brüninga i ministra Curtiusa niewiele jest lepsze, niż było przedtem. Plan Hoovera okazał się niedostatecznym. Niektórzy nawet twierdzą, że to on właśnie wepchnął Niemcy w trudności płatnicze, gdyż unaoczniał światu ciężkie ich położenie i zaalarmował wierzycieli.

Tonącego Michałka złapał Wuj Sam za rękaw, krzycząc wniebogłosy: „Przecież on ma moje pieniądze w portfelu”. Michałka nie zdołał uratować z topieli, tylko mu ściągnął marynarkę, w której był portfel.

Tak obrazowo przed dwoma tygodniami miał scharakteryzować sytuację ambasador niemiecki w Paryżu, p. von Hoesch.

Dzisiaj możnaby tę przypowiestkę przedłużyć: portfel okazał się pu-

sty; pieniądze amerykańskie były zaszyte w kamizelce Michałka.

Więc pp. Stimson, Henderson i Mac Donald krążą nad Szprewą, ale żadnemu nie pilno skoczyć w jej brudne wody. I wciąż namawiają Marjanę, aby w imię humanitaryzmu pogrzyżyła się w toni celem ratowania Michałka, — a zwłaszcza jego kamizelki.

(Wig.) Prasa przyniosła wiadomość, że w momencie największego naprężenia stosunków między Faszyzmem a Watykanem roztrząsano tam projekt przeniesienia się papieża na Korsykę.

W informacjach tych jest zapewne tyleż prawdy, co w puszczonej swego czasu przez jedno z pism warszawskich pogłosce o odstąpieniu papieżowi na rezydencję naszego Wawelu.

A jednak zagranicą pomysł ten potraktowano poważnie; rozpowszechniony tygodnik pacyfistyczny: „l'Europe Nouvelle” pozwolił sobie nawet na uwagę, że „niesławna przeszłość tego zamku kazałaby papieżowi zawahać się, o ile poważniejsze powody nie zatrzymałyby go w Wiecznym Mieście”.

I z przeszłości Wawelu, mającej go dyskredytować, przytacza „l'Europe Nouvelle” dwa fakty: ucieczkę Henryka Walezjusza i zajęcie zamku na koszary austriackie.

Ciekawe, coby publicyści z „Europe Nouvelle” powiedzieli, gdyby ktoś pogardliwie potraktował pałac Wersalski z powodu odbywających się tam orgii ostatnich Ludwików czy z powodu proklamowania w Sali Zwierciadlanej Cesarstwa Niemieckiego; albo coby sądzili o takim, który lekceważąco wyraziłby się o Panteonie, zawierającym prochy Wielkich Francuzów, dlatego, że w pewnym momencie Rewolucji uprawiano u jego ołtarzy kult nagiej kobiety.

A Wawel dla Polski to Wersal i Panteon połączone.

(Lib.). W Wiedniu odbywa się Kongres II Międzynarodówki.

Grzmia rewolucyjne mowy. Grożą kapitalistycznemu ustrojowi świata. Zapowiadają przebudowę wszystkich państw i złączenie ich w jedną kosmopolityczną rodzinę. Nacjonalizm, faszyzm, liberalizm, konserwatyzm, militarizm — wszystko rzucono do wspólnego worka i poddano miazdzącym uderzeniom kongresowych mów. Wydaje się, że Socjalistyczna Międzynarodówka zebrała się poto, aby w Europie i poza nią wszystko wywrócić do góry nogami.

Tymczasem towarzysz Paul-Boncourt, czołowy przedstawiciel Sekcji Francuskiej Międzynarodówki Robotniczej, w świetnej mowie przed Trybunałem Haskim zwalcza *Anschluss* celny Austrii z Niemcami i wymownie broni *status quo* w polityce międzynarodowej.

Tymczasem towarzysz Besteiro, jeden z *leaderów* hiszpańskiej partii socjalistycznej, został obrany przewodniczącym Kortezów, mających nadać burżuazyjnej republice nową konstytucję.

Tymczasem wysłannicy socjalistycznego rządu Anglii, towarzysze Mac Donald i Henderson, ratują kapitalizm niemiecki „nietylko z Hindenburgiem — jak donosi „Robotnik”, — ale również z pruskim prezesem ministrów Braunem, jednym z najwybitniejszych przywódców socjalistów niemieckich”, a premier Mac Donald wygłasza na bankiecie toast, w którym sławi „genjusza i poczucie odpowiedzialności bankiera”.

Stanowczo socjaliści w akcji państwowej są lepsi, niż w kongresowych referatach.

(Old.). Czeskosłowackie ministerstwo sprawiedliwości wydało okólnik, zalecający wszystkim sędziom, którym zdarza się wyrokować w sprawach, wynikłych z wypadków samochodowych, aby nauczyli się prowadzić auto i w ten sposób zdobyli pewniejszą ocenę techniczną w określaniu stopnia odpowiedzialności. — Dotychczas w samej Pradze trzydziestu trzech sędziów otrzymało prawo jazdy, po złożeniu przepisane go egzaminu.

Nie radzilibyśmy naszemu ministerstwu sprawiedliwości, aby poszło śladami pobratymców. Łatwo bowiem mogłoby się zdarzyć, że zdobywszy kwalifikacje szoferskie, sędziowie nasi, chcąc poprawić swój byt, przerzuciliby się do nowego fachu i kadry magistratury poważnie zostałyby uszczuplone.

Zresztą Polska, w innym co-
prawda resorcie, wyprzedziła ini-
cjatywę czeskosłowacką. Już kilka
lat temu ówczesny minister spraw
wewnętrznych, gen. Sławoj-Skład-
kowski, wydał analogiczny nakaz
wojowodom i starostom, a to aby,
prowadząc osobiście auta, lepiej
poznali i bardziej dbali o stan szos.

Środek był kapitalny. Ale rezul-
tat wypadł nieoczekiwanie. Wszys-
tkie wydziały powiatowe nabyły sa-
mochody—i to możliwie wysokich
marek, — tylko wkrótce sejmikom
zbrakło pieniędzy na reparację
drog.

(Old.). Podczas niedawnego
skandalu z powodu krachu wiedeń-
skiego Oesterreichische Kreditan-
stalt wyszło na jaw, że jeden z
członków dyrekcji tego banku za-
siadał jednocześnie w ciałach kie-
rowniczych 57 instytucji zarobko-
wych.

Ale p. Jakób Goldschmidt, pre-
zes rady nadzorczej „Danat'u“, któ-
ry pierwszy z banków niemieckich
zawiesił wypłaty i dał hasło do
ujawnienia katastrofy finansowej,
pobił ten rekord. Okazało się bo-
wiem, że był on prezesem 392 rad
nadzorczych i gdyby chciał poświę-
cić każdej instytucji, której prze-
wodniczył, jedno posiedzenie roc-
nie, nie starczyłoby mu dni, cho-
ciażby pracował bez świąt i urlo-
pów.

Oto są niezdrowe stosunki, wy-
tworzone wskutek koncentracji
przedsiębiorstw i splatania ich
między sobą w gordyjski węzeł.

Niestety, od tego nałogu wsadza-
nia do wszystkich instytucji finan-
sowych tych samych ludzi, nie jest
wolna i Polska.

(Old.). Znakomity pisarz nie-
miecki Emil Ludwíg ma podobno
zamiar powrócić do swego nazwiska
rodowego, które, nawet nie bę-
dąc przez niego używane, posia-
da międzynarodową popularność:
brzmi bowiem zwyczajnie — Kohn.

— Jeśli nazwisko to mógł nosić
z godnością i chwałą przewielebny
arcybiskup Ołomuńca—powiedział
sobie autor „Napoleona I“ i „Wil-
helma II“ — to czemużby mnie
miało sprawiać ujmę?

Nie wiemy, czy ten argument po-
dziela głośny dziś w Polsce p.
Oskar Kohn, prezes i główny

akcjonariusz Widzewskiej Manu-
faktury. Zdradza bowiem w osta-
tnich czasach wielką nerwowość:
to zamyka fabrykę, to ją otwiera;
to się układa z rządem, to z nim
procesuje; to nosi się z zamiarem
rozwoju przedsiębiorstwa na wzór
amerykański, to zgłasza się o nad-
zór sądowy.

Jedno jest pewne: że zmienił już
miejsce zamieszkania, z Łodzi
przeprowadził się do Gdańska.
I drugie pewne: — złote zamienił
na guldeny. Czy nie zechce też
zmienić nazwiska? Kto wie. I nie
powstrzyma go, zapewne, że jeden
Kohn uświetnił katedrę w Ołomuń-
cu, drugi zasłynął w literaturze,
trzeci patronuje komunistom pol-
skim w Sowietach, a ilu zabłysło
w handlu — nikt nie zliczył!

(Old.). Wśród wychowanek li-
ceum w New-Jersey przeprowadzo-
no ankietę, czy widzą swą przy-
szłość w zdobyciu samodzielnego
fachu, czy też w zamażpójściu.
87% dziewcząt wypowiedziało się
za możliwością zarobkowania, a tyl-
ko 13% wolało widoki matrymon-
jalne. Z odpowiedzi na drugie py-
tanie wynikało zresztą, że 70%
uczenic nie widzi przeszkód do je-
dnoczesnego oddawania się pracy
zarobkowej i słodyczom małżeń-
stwa.

Sądząc z tych nastrojów, Stanom
Zjednoczonym nie grozi wyludnie-
nie, ale też niema szans na zmnie-
szenie bezrobocia, podsycanego
konkurencją kobiet.

(Ha-Ha). Pewien publicysta
warszawski, pragnący dwunasto-
miesięcznego sezonu operowego w
Poznaniu i nie zgadzający się na
sezon ośmiomiesięczny, propono-
wany przez magistrat poznański,
tak opisuje ostatnie przedstawienie
operowe w stolicy Wielkopolski:

„Grano *Halkę*. Publiczność wy-
kupiła wszystkie bilety. W łóżach
i pierwszych rzędach zasiadł magi-
strat i rada miejska, jakby pragnę-
ły asystować przy wykonaniu wy-
roku śmierci na operę. I oto pu-
bliczność robiła owację kwiatową
po każdym akcie artystom, a po
zapuszczeniu kurtyny na widowni
wstał jeden z dziennikarzy i w wy-
mownych słowach potępił mordo-
wanie opery poznańskiej przez ma-
gistrat. Powstał popłoch. Publicz-
ność biła brawo mówcy, radni i
ławnicy opuścili pospiesznie teatr,

a agencji policyjni na rozkaz prezy-
denta miasta zaaresztowali obroń-
cę kultury muzycznej w Poznaniu,
protestującego na widowni“.

Niesłychanie interesujące spra-
wozdanie! Pikantny zwłaszcza jest
ten moment, w którym sprawo-
zdawca mówi, że „powstał popłoch“.
Trudno coprawda uwierzyć, że
powstał popłoch, skoro w nastę-
pnym zaraz zdaniu pisze szanowny
sprawozdawca: „Publiczność biła
brawo mówcy“... Kto bije brawo,
ten się nie spłoszył. Ale jeżeli
istotnie tak było, jak powiada spra-
wozdawca, to dlaczego nie napisał
po prostu: „Publiczność w popłochu
biła brawo“!? Cóżby to był za
znakomity argument za dwunasto-
miesięcznym sezonem teatralnym
i jakieby to było zpiorunowanie
magistrackiego projektu, przewidu-
jącego karygodnie sezon operowy
ośmiomiesięczny!

NAJMŁODSZA CÓRKA JAPON- SKIEJ PARY CESARSKIEJ



KSIEŻNICZKA ATSUKO YOXI, CZWARTA
CÓRKA JAPONSKIEJ PARY CESARSKIEJ,
URODZIŁA SIĘ W MARCU R. B. JEST TO
PIERWSZA FOTOGRAFJA JEJ CESARSKIEJ
WYSOKOŚCI

DWORY W MIŃSZCZYŹNIE

II.

W ZAMOŚCIU U ALEKSANDRA JELSKIEGO.

W okolicy Russakowicz odwiedziliśmy kilka gniazd ziemiańskich; z niektórych pozostały mi tylko zamglone obrazki, inne wraziły mi się głębiej w pamięć. Do takich należy Zamość pana Aleksandra Jelskiego.

Obszerny dom miał fizjognomję dość obojętną, ale zagnieżdżony wewnątrz właściciel wart rzeczywiście studjum portretowego. Ponieważ raz tylko w życiu go oglądałem, muszę się ograniczyć do wyrazistego szkicu. Był to już starzec 80-letni, zatem zdefiniowany zupełnie i obliczony co do swych działań i zasług. Używał najlepszej reputacji, jako człowiek, ale rozgłos jego jako literata, znawcy historii, sztuki i starożytności musiał być objaśniony przez osobny komentarz. Był szczerym Polakiem, żarliwym katolikiem; miał poszanowanie, czasem aż przesadne, dla każdej starej książki, dla każdego szczątka przeszłości krajowej, czuł się powołanym do konserwowania i opisywania tego wszystkiego, tylko zbyt małą wagę przykładał do metody swych prac rozlicznych i dorywczych. — Oddawna wpadały mi w ręce jego maleńkie monografiiki, to o Nieświeżu, to o fabryce szkła w Urzeczcu Radziwiłłowskim, to znów artykułiki do słowników i encyklopedji, o obyczajach miejscowych. — — Gdzieś podobno opisał miasto Pińsk historycznie i statystycznie. Ponieważ wymieniał tam zadziwiającą cyfrę rocznego obrotu handlowego i spławu na rzece Pynie, pytano go, jak zebrał te dane. — Przyznał się, że poszedł raz na przystań rzeczną, w której stało wyjątkowo dużo berlinek, obliczył mniej więcej wartość ich ładunku, poczem pomnożył tę cyfrę przez 365 i tym sposobem otrzymał wartość rocznego obrotu — — zapomniał nawet, że Pina zamarza na kilka miesięcy! — To może być anegdota, jednak zbliża się bardzo do charakteru studjów Jelskiego. — Mnie samemu pokazywał „studjum” nad jedną z gwar białoruskich, złożone z kilkudziesięciu wyrazów, zapisanych bez objaśnień i z 3 czy 4 stron artykułu wstępnego. Takie studjum, albo opis Pińska, należą do robót niedbałych. Ale pan Aleksander Jelski podej-

mował też trudy uparte i mozolne. Powziął kiedyś myśl pośrednictwa w najmowaniu służby domowej z celem chwalebny, aby dobra służba znajdowała zajęcie u dobrych chlebodawców. Jak tam cenzurował chlebodawców — nie wiem, ale służba przez niego rekomendowana musiała mieć dobre świadectwa z poprzednich miejsc, a nadto świadectwo moralności od właściwego proboszcza. Przez kilka lat zajmował się Jelski tem ideowem przedsiębiorstwem, napisał i otrzymał tysiące listów, które to listy i swoje bruljony zachowywał. Chwalił się przedemną tem archiwum, starannie uporządkowanem; upatrywał w niem materiału do historii obyczajów (?)... Jeżeli te stopy bibuły spełniły swe zadanie doboru służby do chlebodawców, możnaby je chyba już uznać do prawdy za wyczerpane.

Zamość posiadał kilka niezłych portretów, dużo rycin pospolitych i gratów staroświeckich zebranych bez namacalnej myśli przewodniej. Trochę też książek typowych dla polskiego szlacheckiego dworu. Jelski kochał to wszystko i umiłowanie swe wyrażał w cenach na ruble, przesadzonych ogromnie. Czynił to nie w celach spekulacyjnych, bo nic z tego nie sprzedawał, ale chyba dla złudzenia bogactwa, lub dla podniesienia cen utartych do stopnia swego własnego wybujałego amatorstwa. Cenił np. dużą rycinę włoską z „Aurory” Guido Reni’ego, dobrą ale pospolitą, 1000 rubli, gdy tę rycinę można było zawsze dostać u handlarza za 50 franków.

Te dziwactwa można zaliczyć do niewinnych. Gorzej rzecz się miała z biblioteką, gdyż pan Jelski miał zwyczaj wyrażać swój sąd o przeczytanej książce za pomocą licznych dopisów *atramentem* na tytułach i marginesach. Dobrze, gdy to były adnotacje do własnych druków, lub korekta jakichś broszurek małej ceny, ale najlepsze stare druki swego zbioru opatrywał tą bazgraniną, niwecząc często wartość egzemplarza dla bibliofila. Nie słyszał zapewne nigdy o przyjętej przez zbieraczy zasadzie, że tylko dopisy autora na własnym dziele drukowanym mogą w danym razie podnieść wartość egzemplarza — wszelkie zaś inne pisanie po drukach wartość ich obniża; że zatem poszukiwacz ważnych druków ucieszy się, znajdując np. na księdze

Kopernika „De revolutionibus orbium celestium” noty własnoręczne autora, ale skrzywi się srodze, gdy na marginesach dzieł Staszica znajdzie choćby najpochwalniejsze dopisy pana Aleksandra Jelskiego.

Pod koniec przeglądu tej rupieciarni trafiłem na rzeczy zadziwiające: zbiór autografów francuskich, między niemi Napoleona i wielu słynnych marszałków. — Skąd to tutaj?! — Jelski dostał to w jakiejś zamianie i mało cenił. — Jednak ten zbiorek był ciekawszy od jego archiwum pośrednictwa w najmie służby domowej...

Nie będę już mnożył tych drobnych rysów, gdyż posadzi mnie kto może o pastwienie się nad osobą porządnego człowieka, któremu wolno było bawić się, jak mu się podobało. Ale te rysy potrzebne mi jako przykład zadziwiającego dyktanta i spaczoney kultury, przywar pleniących się u nas nie tylko w dworach wiejskich, lecz i po wielkich miastach. Taki pan zamożny, ze znanej szlachty, zamiłowany oddawna w zbieraniu i badaniu przeszłości polskiej, mający i ambicje pisarskie — jakim sposobem nie doszedł do spostrzeżenia, że tak się nie zbiera, nie bada i nie pisze? Miał przecie o kilka mil od siebie Stańków Emeryka Czapskiego, gdzie mógł się przekonać, jak podobne zamierzenia zakreśla i przeprowadza człowiek inteligentny. — — Nie mogę sądzić o inteligencji Aleksandra Jelskiego po jednodniowym pobycie w Zamościu. Ale nie chodzi mi o zmierzenie jego zdolności; chodzi o wynik krztań niby około kultury, dreptań niby pracowitych, o wynik tego bogobojnego, lecz jałowego dla kraju żywota. — — Nic złego nikomu, a zatem i krajowi nie uczynił. — — A przecież jedno: świadomie, czy może raczej bezwiednie, szerzył nieautentyczne powiadomienia, przykłady marnej pracy; uchodził za pewną powagę moralną, zamiast nią być w istocie. Na kredyt jego szanownego nazwiska i dobrych pozorów zewnętrznych uważano go, zwłaszcza w dawniejszych czasach, za znawcę historii i dzisiejszych stosunków Mińszczyzny, spodziewano się od niego jakichś większych dzieł drukowanych w tej materji. Na szczęście, ograniczył się do produkowania drobniaków. Ale właśnie z takich drobnych, biernych grzeszków lenistwa, niedołęstwa, niegotowości fachowej, składają się głównie niedomagania naszej kultury, a nawet całej pracy narodowej.



„DOM SZTUKI” W ZAKOPANEM

TEGOROCZNA WYSTAWA
ARTYSTÓW PODHAŁAŃSKICH

TADEUSZ MALICKI: CHATA W JESIONACH

K. KŁOSOWSKI: KAPLICZKA



Przed kilku dniami odbył się w Zakopanem vernissage wystawy obrazów i rzeźby, urządzony przez Związek Artystów Plastyków, reprezentujących Podhale. Wystawa jest pierwszorzędna, świadcząca o wysokim poziomie Związku, jednego z najpracowitszych i najbardziej szanownych, istnieje on bowiem od lat 25, słowami: dwudziestu pięciu. Jest to przeto jego rok jubileuszowy, godny powszechnego uczczenia. Związek ten ma w swoim bogatym bilansie nie tylko czynną reprezentację sztuki na Podhalu, lecz wspaniałą pracę w organizacji sztuki ludowej Podhala i przemysłu artystycznego, założenie Kilimu, powołanie do życia Teatru Eksperymentalnego i t. d.

Związek Art. Pl. mieści się w lokalu wygodnym, lecz mającym fatalny dostęp; wobec tego marzeniem, które ma zrealizować rok jubileuszowy, jest budowa wspaniałego pawilonu sztuki w zakopiańskim parku miejskim. Jest to pomysł, który należy poprzeć ze wszystkich sił. Zakopane, które wykazuje w swych

spisach meldunkowych już tysiące gości cudzoziemskich, musi posiadać ucziwy i piękny dom Sztuki. To też go będzie miało. Prezesem jest człowiek dzielny i entuzjasta, Tadeusz Malicki, w zarządzie są pierwszorzędni artyści; wszyscy będą dążyć uparcie do tego, by własny zbudować dom. Życzymy Zakopanemu z całego serca, aby się ta impreza całkowicie udała.

Zakopane

K. M.

ST. SOBCZAK: CERAMIKA



FIGARO I MELISANDA

— Pamiętasz, jakie miałam włosy? Prawie do kolan.

Mówiła to śliczna blondynka do ślicznej brunetki, przymierzając na swej małej główce jej figlarny kapelusik, coś między beretem a półszlafmycą z czerwonym ćwierćpiórkiem z boku.

— Naturalnie, że pamiętam — odpowiedziała brunetka. — Łysa Milerowa zieleniała na niedojrzałą renklodę, ile razy się z tobą witała i zaraz po dzieńdobry zapytywała cię obleśnie, czego używasz do włosów. „Grzebienia”, odpowiedziała kiedyś za ciebie twoja matka.

Panny wybuchnęły śmiechem.

— Wiesz, że mi się już sprzykrzyły krótkie włosy! — rzekła po chwili blondynka. — Obcięliśmy włosy niby dla wygody, tymczasem teraz więcej się przesiaduje u fryzjera, niż przed reformatorską erą Antoina.

— Niema rady, moja droga. Nie można przecież chodzić w gładkich włosach, uczesanych szczotką, umaczaną w wodzie. Krótkie włosy bez ondulacji wyglądają na najładniejszej główce, jak mokra ścierka na patyku.

— Albo, jak strąki na płocie!

Panny znów parsknęły śmiechem, a blondynka, przejrzawszy się w lustrze *en face* i profilem i przekonawszy się, że nie jest jej „do twarzy” w półbreciku, półszlafmycy z czerwonym ćwierćpiórkiem na boku, oddała brunetce jej kapelusik, mówiąc:

— Postanowiłam zapuścić włosy.

I spojrzała na mnie.

Zrobiłem minę „nijaką”. Pamiętałem wprawdzie wspaniałe włosy blondynki, złote, długie i gęste; nieraz wypowiadałem dytyramby na cześć tych bogatych włosów; nawet w swoim czasie odradzałem, i to najgoręcej, oddania tego „naturalnego płaszcza” pod katowski nóż mody; dziś atoli... Zrozumiałem nagle, że nieobcinane włosy niewieście wydają mi się dzisiaj czymś w rodzaju nieobcinanych nigdy pannokci: ozdobą barbarzyńską.

Zdziwiona moją miną i brakiem z mojej strony wybuchu entuzjazmu czarująca blondynka zakreśliła się na pięcie i zmieniła zrzęcznie temat tej przypadkowej rozmowy, przyczem pomyślała o gorszej niestałości upodobań męskich, siadła do fortepianu i zagrała tan-

go. Wyznaję, że i ja również byłem zaskoczony swoim niewątpliwie nieaprobowanym stanowiskiem w ważnej, przez pół zdecydowanej sprawie przedłużenia ślicznych złotych włosów, których dawniejsza niezwykajna bujność naprawdę wprawiała mnie w zachwyt.

Zmysłowe tony tanga wysnuwały się leniwie z pod palców uroczej blondynki, a ja się zamyśliłem o niewieściach włosach. Ile miejsca te włosy zajmowały dotąd w poezji, w literaturze! Te długie, te do kolan, im dłuższe, tem lepiej, te war-kocze, zwłaszcza podwójne, grube, splecione razem z wstążkami, te upięcia na głowie, wysokie, poprzeszywane szpilkami, niskie, spojone mnóstwem drobnych szpilek karbowanych, szyldkretowemi klamrami, półkolistemi grzebieniami... W rozdziale, opisującym zdradę małżeńską, w rozdziale poświęconym pierwszej schadzce, w rozdziale o upadku kobiety cnotliwej, jakże ważne miejsce zajmowały długie włosy bohaterki, wypadanie szpilek z jej koafiury, ekstatyczne słowa kochanka o odurzającym zapachu włosów pożądaney i nareszcie całowanej kobiety! Omdlewającą w walce o honor własny i męzowski, porywał ją wreszcie na ręce poządlivy samiec, dyszał i niósł nieszczęsną w półmroku garsonierzy za purpurową kotarę, przyczem szeptał, niby zaklęcia czarnej magji, nieodparte formuły metafizycznych praw miłości, przedziwne skróty uczuciowe w rodzaju: „Skarbie!” „Cukierku!” „Jakie ty masz dołeczki, niech mnie djabli wezmą!” A ona, słaba, oszołomiona, wyjęknęła tylko:

— Przydeptujesz mi włosy, och, ale to nic!

Co do długości włosów swoich bohaterek najdalej poszedł, zdaje mi się, Maeterlinck w żalostnej tragedji pt. *Peleas i Melisanda*. Czytałem ten utwór dawno, przed wojną, ledwie go pamiętam. Melisanda, o ile się nie mylę, rozmawia z kochankiem, stojąc w oknie pierwszego piętra. Kochanek stoi w ogrodzie. Ani on, ani ona, nie mają temperamentu Romea i Julji. Zato Melisanda ma włosy o wiele dłuższe, niż namiętna panna Capuletti. Te włosy Melisandy, rozpuszczone wysunęły się z okna i spadły, jak złoty deszcz, do ogrodu. Pochwycił je kochanek rozmiłowanemi rękoma i przywiązał do drzewa, aby mu najdroższa nie umknęła. Sytua-

cja dla Melisandy w najwyższym stopniu drastyczna, powiedziałbym nawet, upokarzająca. Nic więcej nie pamiętam. Jak przez mgłę, majaczy mi się (ale może to jest do-sypka już mojej własnej wyobraźni) nadejście męża Melisandy. Peleas (a może platoniczny kochanek długowłosej śliczności nazywał się inaczej? może to małżonek Melisandy nosił dźwięczne imię Peleasa?), Peleas nie zdążył odwiązać kilkometrowej kosy swojego ideału od sęka, uciekł, a mąż jednym rzutem oka zrozumiał znaczenie tego przedziwnego węża gordyjskiego. Uderzył mieczem po sęku... A może to właśnie Peleas ciął swoim kindzałem złotą kosę? Byłoby to z jego strony bluźnierstwem, nieposzanowaniem urody umiłowanej, a cnotliwej cudzej żony! A może wogóle żaden z tych panów nie podniósł uzbrojonej ręki na melisandowe włosy, wobec których mogły nie zadrzeć dreszczem onieśmielenia jedynie nożyczki Antoina rodem z polskiej ziemi!

Bądź co bądź, pamiętam, że w dramacie Maeterlincka o naj-naj-cnotliwszej żonie zacnego męża włosy odegrały rolę pierwszorzędną. Długie włosy, długie. Gdyby w epoce Peleasa panowała moda krótkich włosów kobiecych i wie-czystej ondulacji conajmniej piętnastodniowej szanowny mąż cnotliwej ze wszystkich sił Melisandy nie byłby się o małżonce niczego złego dowiedział i w tej pod każdym względem pocziwiej rodzinie gościłby po dzień dzisiejszy za-zdrości godny spokój.

Wystawiona dzisiaj tragedia o Melisandzie możeby wzbudziła śmiech nowoczesnego audytorjum podczas odgrywania długowłosej sceny? A możeby przeczysta heroina Meterlincka, mniejsza niż jej włosy, wydała się dzisiejszym widzom teatralnym czymś w rodzaju... kaleki? Cokolwieczek wysiloną wzniosłość tej poetycznej sceny podciął nowoczesny Figaro polskiego pochodzenia, chlasnął w niej ów niedostrzegalny dystans, dzielący podstępnie wzniosłość od śmieszności. Zresztą, nie wiadomo, czy i przedwojenni miłośnicy sztuki dramatycznej nie uważali, iż poezja tej sceny lirycznej z włosami jest przez Maeterlincka ciągnięta za włosy? I że jej wzniosłość wisi dosłownie na włosku? O ile mnie nie zwodzi pamięć, już wówczas, przed laty, jednopiętrowe włosy czarownej Melisandy usposabiały mnie raczej do złośliwych żartów,



STRAŻ OGNIOWA W LOS ANGELES ĆWICZY SIĘ W SKOKACH ZE SPADOCHRONEM. EMOCJONUJĄCY MOMENT SKOKU Z DRAPACZA CHMUR, GDY SPADOCHRON JESZCZE SIĘ NIE OTWORZYŁ. NA ULICY DLA BEZPIECZEŃSTWA STRAŻACY ROZCIĄGNĘLI OLBRZYMĄ DERĘ

Fot. The New York Times

niż do serdecznego namaszczenia, mimo, że młodszy byłem, Melisando!

Blondynka przestała grać na fortepianie. Wstała. Uśmiechnąłem się do niej i rzekłem:

— Nie trzeba zapuszczać włosów.

— Co? Włosów? — odrzekła z wdziękiem, jakby nie rozumiejąc, o co właściwie chodzi.

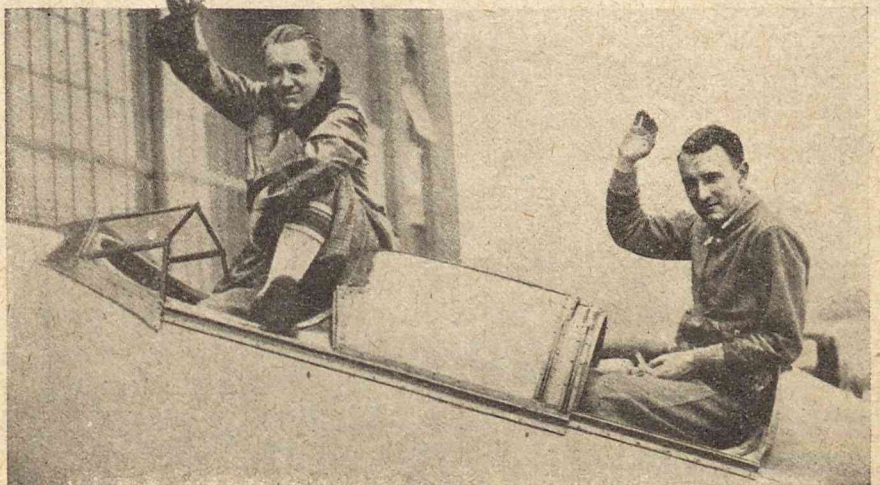
Brunetka ujęła ją pod ramię. Razem parsknęły śmiechem.

— A któżby dziś zapuszczał długie włosy! — zawołała srebrzyście prześliczna blondynka. — Wolalbym się raczej dać wytatuować, bo to koniec końców nie przeszkadza. Długie włosy to skrępowanie ruchów, to dodatkowe zajęcie, to nieustanna niewygodna, to...

Siadła do fortepianu i zagrała z ferworem *Modlitwę dziewicy* nieśmiertelnej Bondarzewskiej.

Wacław Grubiński.

WĘGIERSCY ZDOBYWCY ATLANTYKU



LOTNICY WĘGIERSCY JERZY ENDRESZ I ALEKSANDER MAGYAR NA AEROPLANIE „SPRAWIEDLIWOŚĆ DLA WĘGIER” SFORSOWALI ATLANTYK. STARTUJĄC Z NOWYORKU — LOT SKOŃCZYLI W BUDAPESZCIE



P O E Z J E

STARY ZEGAR

*Na kominku zegar stary
pod szklanym kloszem się kryje.
Nie jest, jak wszystkie zegary,
i nie tak, jak one, bije.*

*Ornamentów kształtnych lśnieniem,
przepychem form nęci oko.
Innej epoki jest cieniem:
wdzięcznej epoki rokoko...*

*Po obu stronach owalu
figur się pięknych kunszt mierzy.
Markiza, strojna do bolu,
kawaler, para pasterzy.*

*Złocista źródła kaskada,
kwiatami strojna amfora.
U góry, kochankom rada,
szczęściem tchnie postać Amora.*

*Lube jakieś, słodkie mary,
miłość, młodość a ochota...
Wtem budzi się zegar stary
przy dźwiękach lekkich gawota.*

*Markiza wachlarz otwiera,
niżej się skłania pasterka...
Dama kusi kawalera,
dziewczę na pasterza zerka...*

*Już każda postać oddycha,
już oko ich życiem tryska..
Gdy nagle — muzyka ścicha,
zmiłkł zegar stary — — — czar pryska.*

ANTENY

*Na szarych i czerwonych dachów kwadraturze
sterczą zewsząd szeregiem dziwaczne szpikulce,
cienkie druty rozszczepień celując ku górze. —
To anteny podnoszą swe wysmukłe palce,
wysłuchując odgłosów tajemnych przestrzeni —
czujne łączniki świata ech ze światem ziemi.*

*A w ciasnych suterenach lub gdzieś, na poddaszu,
w pysznych złotem salonach, kapiących przepychem,
siedzą kołem postacie zasłuchane, ciche — —
Zwiewne gędzby przestworzy rzeczywistość kraszą,
niosą jakieś wezwania i pieśni z daleka,
aż dech zapiera, aż tza błyska na powiekach.*

*Wokół świat mówi, śpiewa, gra.
Powietrze — to rozdrzana tonami jest harfa.
Czarodziejska skrzyneczka, kryształ cały w skrach,
drutu wąska, cienka szarfa —
i fale dźwięków płyną oceanem.
Ujarmione harmonją, w czasie rozkiełznane,
cwałujące przez kosmos Walkirje eteru...
Raz po raz z oczarowań budzi głos speackera.
Ponad miastem las anten w słońcu wciąż się mieni
i chwyta, chwyta, chwyta wieczny hymn przestrzeni.*

CZARNA KOTKA

*Wysuwając pazurki, gnąc się wdzięcznie krzyżem,
czarna kotka okręca się wokółko, jak fryga,
Aż zwrotem niespodzianym swe futerko liże,
tylko czerwony język wśród białych kłów miga.*

*Zawsze stąpa ostrożna, nieuchwytna, lekka,
bezszelestnie stawiając aksamitne stopy.
Spłoszona czasem w płasach igraszek ucieka,
wielkie, zielone oczy ślą iskier złych snopy.*

*Gdy ujrzy siedzącego tuż upodal pana,
z łagodnym, cichym mrukiem idzie doń leniwie,
w gibkim ruchu wskakuje nagle na kolana,
wyciąga się lubieżnie, ufnie i pięściwie.*

*A przytuliwszy łapki kosmate do głowy,
śni wkrótce swe sny kocie i swe kocie łowy.*

CZESŁAW GUMKOWSKI



1. Najlepszy strzelec Anglii. Na zawodach strzeleckich w Bisley mistrzostwo uzyskał sierżant A. G. Fulton. Otrzymał też dar od króla w postaci Złotego Kubka.

Fot. The New-York Times

2. Japoński prezes Rady Ministrów baron Wakatsuki jest jednocześnie golony i maniakiurowany. Golarz na ustach ma specjalną bindę, by oddech jego nie dotykał wysokiej osoby pierwszego japońskiego ministra

3. Ślepy 70-letni amerykański milioner A. J. Wright ożenił się z 30-letnią piękną rosjanką Tatjaną Masołową. Gdy miał jeszcze wzrok—spotkała go rekuza. Ślub odbył się według obrządku amerykańskiego i prawosławnego. Dzieci milionera wniosły do sądu proces o unieważnienie tego małżeństwa

ze świata



Kto chce mieć w Paryżu nareszcie spokój od rodaków, niech jedzie teraz na Wystawę kolonialną. Znajomi różnią się tem od nieznajomych, że się wielu rzeczy boją i że ich wiele rzeczy nudzi. Boją się upałów, ścisku, braku miejsca w hotelach, oglądania i zwiedzania. To też Wystawa Kolonialna wolna jest narazie od przybyszów z Lechistanu, z czym jej jest zresztą ogromnie do twarzy.

Każde spotkanie się w Paryżu ze znajomą z kraju nie może się dobrze skończyć. Przedewszystkiem zapyta się odrazu: „Gdzie mieszkasz?” — na co tu nie jest wcale łatwo odpowiedzieć, ponieważ zwykle mieszka się w jakimś hoteliku na Montparnasse, który sam się przyznaje do tego, że jest drugiej klasy, a do którego wcale nie ma ochoty przyznawać się ktoś, który we własnym kraju zgrywał z powodzeniem „ein polnischen panie” (jak mówią o polskich panach Niemcy).

Znajomi krajowcy potrafią zatruć człowiekowi każdą jasną paryską chwilę. Jeśli, na przykład, chcą nam powiedzieć coś takiego, czego nie chcą, żeby ktoś siedzący obok zrozumiał, to wygłaszają po francusku domową francuszczyznę coś w rodzaju: „J'irais quelque part” (gdy chcą się na chwilę ulotnić); do kelnera mówią: „monsieur, payer”, albo też krzyczą głośno po polsku z szlachecką brawurą, która wszędzie na świecie czuje się u siebie w domu. Lubią też zaprowadzić gości z Warszawy do polskiej restauracji, do jakiegoś „Bartka” lub „Jaśka”, gdzie „pour du veritable casha” zapłaci tyle, co gdzieindziej za cały obiad. Znajomkowie z Warszawy lub Poznania z chwilą wstąpienia na grunt paryski czują się w obowiązku być nagle gorącymi patriotami i krytykować wszystko, porównując to, co widzą, z cudami własnego kraju.

O wystawie Kolonialnej powiedzieliby napewno: „Zaś ale

naszapożnańska „Pewuka” była ździebkolepsza, nie?” Na żołnierzy marokańskich czarnych jak ziemia, krzywili by nosem, mówiąc, że trupa murzyńska w „Qui-pro-Quo” by-



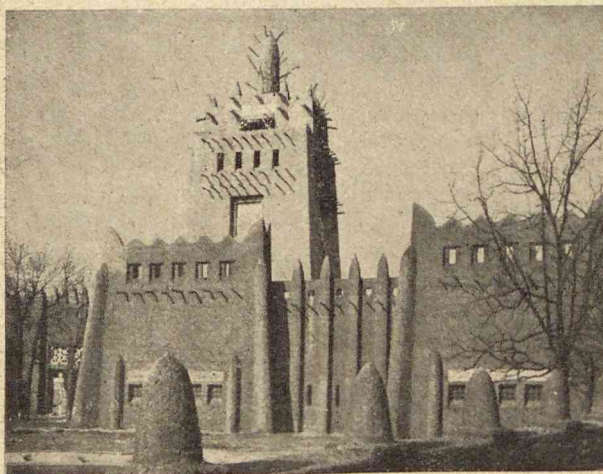
AUTORKA NINIEJSZEGO FEJLETONU OBOK
BOŻKA MURZYŃSKIEGO

ła jeszcze czarniejsza; piwoby im było za gorące, dzieci za małe, a tłum za duży. Już nie mówiąc o jękach i awanturach na widok „choucroutte garni”, która na Wystawie jest „le plat du jour” i „obligatoire”, jak szampan w drogich dancingach.

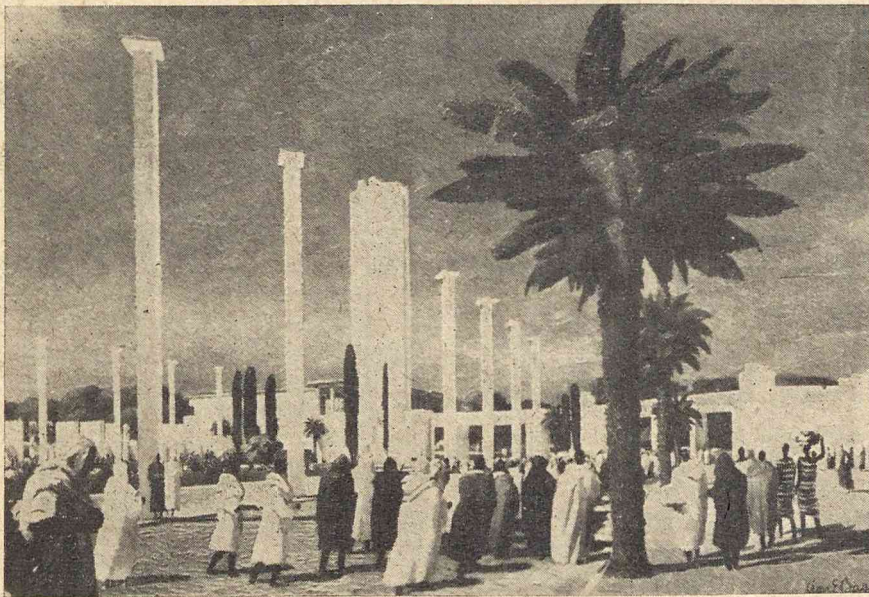
Otóż wygłodniałemu od oglądania Wystawy średnio-europejczykowi podają na obszarpanym talerzu trochę papkowato-podtatusiałej kapusty, ozdobionej zielonkawą (do koloru łałości) szynką i kawałkiem kielbasy. Goście zwiedzający Wystawę mogą mieć złudzenie, że są prostymi żołnierzami na manewrach, którym po ciężkim marszu rozdają żarcie gotowane poprzednio w ogromnych kotłach. Kelnerzy, zjadli czciciele kapusty, nie pozwalają gościom zaspokoić głodu kawą z kanapką, tylko gruchają, chodząc od stolika do stolika: „Choucroutte . . . choucroutte”. Na Wystawie ludzie, chcący zarobić, powinni sprzedawać mały „Przewodnik pokarmowy”, opisujący dokładnie, czego nie należy jeść, żeby nie zginąć marnie, jak zatruty szczur.

Cała Wystawa robi trochę wrażenie albumu z egzotycznymi markami, które pamiętamy dobrze z dzieciennych czasów. Każdy kiosk, pawilon, lub kompleks bu-

dowlu mieści w sobie i naokoło siebie wszystko, co stanowi bogactwo i dumę danego kraju, zupełnie jak na marce pocztowej. Przerzucając kartki owego albumu, widzimy obrazki, których się długo nie zapomni. Oto murzyni afrykańscy, wysokie chłopcy o czarnych wyschniętych rękach mumii, rzeźbią bez przerwy różne fascynujące dziwactwa w kości słoniowej lub drzewie, a biali z głupkowatym rozchyleniem ust przyglądają im się, jak zwierzętom w Zoologicznym Ogrodzie. Spokojny, pełen godności wzrok czarnych przechodzi, jak wzrok dzikich zwierząt, ponad oczami brudnych, świecących rentierów i epicierów, szukając w przestrzeni formy dla



PAWILON FRANCUSKIEJ AFRYKI ZACHODNIEJ (ARCH. OLIVIER
I LAMBERT)



GLÓWNE WEJŚCIE (ARCHITEKT BAZIN)

swoich dziwacznych rzeźb, które mogłyby do dzikiej zazdrości doprowadzić wszystkich modernistycznych rzeźbiarzy europejskich.

A dalej znów chińskie kioski, gdzie chińczycy w czarnych, długich jedwabnych kaftanach i białych pantalonach sprzedają chińskie jedwabie, a także różne inne pewno „made in Lodz” cudowności. Z długimi, zwieszonymi na kwintę wąsami, w okularach wyglądają oni raczej na mędrców i uczonych, którzy chwilowo zmuszeni są obsługiwać Europejczyków i którym nawet niebardzo się chce odpowiadać na ich beznadziejne pytania:

— Ile kosztuje metr tego jedwabiu — pyta się takiego chinamana francuszczyka z oczami jak duże czarne pieprzki.

— Niech pani spojrzysz na napis — odpowiada jej z profesorską skrupulatnością żółty uczony w okularach, wskazując małą ręką koloru starej kości słoniowej objaśnienie, wywieszone nad kioskiem.

Żółci są chytry i uważają Europejczyków za wielkich durniów. Nad kioskiem z jedwabiami wisi napis następujący: „Metr jedwabiu za cenę 30 fr. tylko jeszcze przez tydzień. Potem drożej”. Oczywiście, że chytry ten napis będzie spokojnie wisiał przez cały ciąg Wystawy.

Pawilon Tunisu składa się z małych zakamarków i uliczek zadywanionych, pełnych kramików z niepotrzebnymi nikomu wyrobami wschodnimi. Arabowie o wzroku lepkiem i płynnym, jak guma arabska, wołają za przechodzącą Europejką: „Madame! Madame!” — takim głosem, jak obca osoba w Krakowie, chcąc drugiej osobie zwrócić uwagę, że jej pękła z tyłu pończocha. Przerażona dama zatrzymuje się, ogląda swoje buty i pończochy, a wtedy Arab — mądrała pcha jej do ręki flakonik z pachnącymi olejkami, lub

dywan, zależnie od wyglądu i ubrania owej damy.

Każdy, który zwiedził Wystawę Kolonialną, może już śmiało całe życie błagować, że zwiedził żywcem cały świat. Może później, podczas długich wieczorów zimowych, opowiadać w kółku znajomych (w rodzinie nie udaje się żadna błaga), że na przykład, w pobliżu świątyni Angkor-Vat można się napić doskonałej kawy, że róża jeryhońska, zasuszona na szkielet, w wodzie rozwija się i trąbi, że na wyspach Samoa nikt samego „A” nie wymawia, ale i inne litery, że Bagdad jest bardzo drogi, bo wstęp na wysepkę, na której się znajduje, kosztuje aż 5 fr. Może z powodzeniem opowiadać, że pirogi nie wszędzie na świecie są tak leniwe, jak w Polsce, przeciwnie te, na których on jeździł po afrykańskich wodach, były bardzo ruchliwe i pełne werwy, że taniec brzucha, ten prawdziwy, tańczony przez wschodnie piękności, jest właściwie tańcem innej części ciała, a zwie się „la danse au ventre”, dla przyzwoitości, że „souki” tylko u nas mają coś z psami wspólnego, bo na Wschodzie zwą się w ten sposób uliczki. A na zapytanie, co się na Wschodzie jada? odpowie bez wahania, że tylko kapustę i kawę. — „W amerykańskich barach — doda — których pełno znajdziecie w każdym wschodnim mieście, można też dostać kiełbaski, zwane po angielsku: „Hot - Dogs”. Jak nazwa sama wskazuje, są one pędzone z psów, przeważnie z takich małych, niedojrzałych, ale zdrowych piesków, których tak dużo włóczy się po ulicach wschodnich miasteczek.

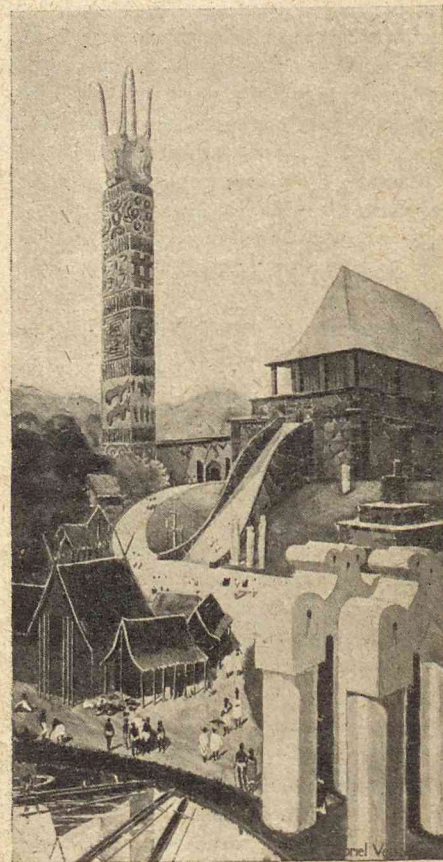
Miedzy godziną siódmą a ósmą Wystawa stara się pozbyć gości, lub namawia ich, by się wygodnie rozsiadli w restauracjach pod słomianymi parasolami i głośnikami radiowymi, które donośnie

ryczą ostatnie paryskie nowości muzyczne, jak „Broadway”, albo „Konstantynopol”, bo oto ta najpiękniejsza z paryżanek musi się przebrać w suknię wieczorową, tak piękną, że wobec niej błędą najwspanialsze modele paryskich Grandes Maisons. Wieczorowa toaleta Wystawy składa się ze światła i wody. Sławna przed kilkunastu laty paryska tancerka Loie Fuller, która tańczyła wśród efektów długich gazowych szali, prześwietlonych kolorowymi światłami, musiała wyglądać podobnie.

Na piersiach Wystawy, drgających strumieniami światła, siedzi przypięta, jak ogromna broszka, świecąca drogiemi kamieniami, świątynia Angkoru. W dawnych czasach cuda takie, jakie można oglądać wieczorami na Wystawie Kolonialnej, byłyby dostępne tylko dla panujących głów lub udzielnych książąt. Sławne „Illuminacje Versalu” oglądały wówczas tylko duchesse, księżęta krwi i dworzanie. Dziś mały, czarny francuski sklepikarz, może sobie za kilka franków pożywić oczy najpiękniejszą egzotyczną ferją. Da mu ona na chwilę zapomnieć o swojej własnej grubej, świecącej z gorąca i tłuszczu żonie, która, świergocąc o zarobkach i oszczędnościach, czeka już na niego w domu razem z soupe a l'oignon i omelette au lard.

Magdalena Samozwaniec

Paryż.



WIEŻA BUKRANÓW (ARCHIT. VEISSIERE)

ZAMFIRA

(Nowela rumuńska)

Stary, zgrzybiały młyn Zava dotąd jeszcze pochyla się nad odnogą rzeki Popricani. Czas go poczeruił, zgarbił ponad głębokimi wodami.

Sześć kół, pędzonych prądem wody, spływającej po grobli, powoli obraca się, wydając turkot przenikliwy. Budynek drga bezustannie w szumie wód, co obryzgują go swą pianą.

I tak trwa on dziś i tak trwał od dawniej dawna.

Działo się to jednej z tych nocy, spotykanych w opowieściach orjentalnych, nocy skąpanych w srebrnej poświacie księżyca, pełnych poszeptów tajemnych i czaru, stworzonych tylko dla młodości i przez nią jedynie odczuwanych.

Był początek lipca. Młody człowiek szedł wzdłuż rzeki; fuzja myśliwska zwieszała mu się z ramienia.

Stada dzikich kaczek ciągnęły ponad gąszczem zarośli i trzcin. Lot ich nęcił go; oczyma gonił ich szybki bieg, aż przemieniły się w małe, czarne punkciki, wsiadając w purpurową lunę zachodzącego słońca.

Z oczyma, wpatrzonemi w tę cudowną panoramę, przeszedł on mostek, pod którym pieniały się kaskady rozwścieczonych wód, schwytanych w kleszcze młyń. Wąską ścieżką, obramowaną szeregiem wierzb pocchytych — spływała woda.

Przejęty do głębi urokiem tego widoku, zbliżał się ku młynowi.

Stary młynarz, siostrzeniec Zava, schodził właśnie po schodkach, trzymając, jak zwykle, fajkę w kacie ust.

W głuchym hałasie wód i turkocie obracających się kół mężczyźni stanęli naprzeciw siebie, zarysowując się bladawo w złocistym kurzu, napelniającym wnętrze budynku.

— Szczęść Boże, ojcze Symeonie!

— Dziękuję panu! — Co nowego w kraju? Czy dostarcza dobrą mękę? (Było to stałe pytanie starego młynarza).

— Dobrą, ojcze Symeonie!

— Dzięki Bogu! — odparł stary. A pan jak się miewa? Znowu przyszliście do nas w odwiedziny? To te kaczki nie dają panu spokoju!

— To prawda, nie dają mi spokoju. Tę noc chciałbym spędzić na wysepce rzecznej, by zapolować skoro świt.

— Dobrze, jeśli pan sobie życzy... Oto Zamfira, która tam zaprowadzi.

W tym momencie zjawiała się wnuczka młynarza. Młoda dziewczyna zaledwie przekroczyła 16 lat. Była piękna: niewy-

soka, zgrabna, o muskułach rozwiniętych, z policzkami pociemniałymi od słońca.

Patrzyła oczyma ciemnymi, głębokimi, niczem przepaść. Były one czarujące, błyszczące i żywe; rzec by można, cała czarna magia kryje się w ich głębinach.

Rysy regularne, wraz z tą przedziwną głębią oczu ociemnionych pięknie zarysowanymi brwiami, dodawały specjalnego uroku tej małej wieśniaczce.

Zatrzymała się raptownie i, rzuciwszy okiem, odpowiedziała krótko:

— Ja nie chcę go tam zaprowadzić!

— Dlaczego? spytał ze zdziwieniem młody człowiek, podczas gdy stary uśmiechnął się dobrodusznie.

— Bo nie chcę! odpowiedziała śpiesznie Zamfira, patrząc z ukosa.

— Dobrze, — dodał stary — nie prowadź go!

Dziewczyna spojrzała dumnie, nieco przeciągle na młodego człowieka, przyglądając się na wpół oczu. Następnie zdecydowanie rzuciła:

— Zresztą, zaprowadzę!

Stary Symeon zaczął się śmiać, jakby przewidywał z góry zachowanie się swej wnuczki. Skłonił się lekko ruchem pełnym powagi i zawrócił na poddasze młyń. Zamfira pozostała przed młodym człowiekiem wyprostowana dumnie, w pozycji bojowej, z głową wysuniętą nieco naprzód; oczyma jarzącymi przeszła go raz jeszcze. Głowę miała odkrytą; krucz włosy płonęły ogniem zachodzącego słońca. We włosach zatknęła lilja zdążyła się ją trochę niepokoić. Kwiat śnieżystej białości cudownie odbijał od czarnych włosów i oczu, stwarzając doskonałą harmonię z jej smagłym opalonem ciałem. Szyję otaczał sznurek czerwonych koralików, tworząc jakby zakończenie haftowanej koszuli, co lekko spływała w dwie faldy, uwydatniające punkciki dziewczęcych piersi. Suknia granatowa była dość długa, sięgając do połowy łydki.

Nagle dziewczyna uniosła głowę, spojrzała twardo na młodzieńca i leciutki cień uśmiechu zaigrał w kącikach jej ust. Pomiędzy czerwonymi wargami można było dostrzec dwa biegające rzędy zębów. Raczniej wyrazem oczu, niż poruszeniem ust powiedziała:

— Idziemy!

Szedł obok, mechanicznie. Posuwali się dość szybko. Kształtna postać dziewczyny, choć jeszcze bardzo młodej, wyraźnie rysowała się pod lekkim ubraniem. Od czasu do czasu zwracała głowę ku niemu,

a w tym momencie nanowo rozbłyskiwały białe zęby, ujęte w wiśniowe wargi.

Przybyli na brzeg rzeki; tam odwiązała łódź i skoczywszy w nią zręcznie, tym samym rozkazującym głosem zawołała:

— Proszę wejść!

Nigdy prawdopodobnie młodzieniec nie wykonał tak skwapliwie rozkazu, jak tym razem, rozkazu rzuconego krótko i mocno. Usiadłszy w łodzi, złożył obok fuzję niedbałym ruchem i zaczął obserwować swą towarzyszkę.

Zamfira ujęła długi kij i oparłszy go z mocą o brzeg, naprężyła się w jednym ruchu całym ciałem, trzymając silnie stopy na dnie łodzi. Ta, odbiwszy od brzegu, poślizgnęła się delikatnie na chybocącej się powierzchni rzeki.

Niezaślęgo łódka, prowadzona przez Zamfirę, przebywszy gąszcz zarośli, wpłynęła na pełną wodę; dziewczyna opuściła kij i chwyciwszy wiosło, skierowała łódź w górę rzeki.

Postać młodej dziewczyny kołysała się przedziwnym rytmem, niepozbawionym specjalnego uroku. Kwiat lilji drżał na czarnych puklach włosów, poruszanych ciepłym wietrzykiem; na falach zwierciadlanych tańczyło jej odbicie w zmiennym świetle ostatnich promieni.

Powierzchnia tafla wód oddychała wieczornym spokojem. Nenufary i lilje wodne połyskiwały w purpurowej atmosferze, przesyconej złocistą kurzą. Szuwary pod dotknięciem wiosła lekko szemrały. Łatki, niby strzały błękitne, przesywały powietrze.

Nagle dziewczyna spojrzała dziwnie oczyma i spytała:

— Czy pan chce tutaj spędzić całą noc?

— Naturalnie.

— Dobrze.

Dźwięk głosu posiadał melodyjność srebrnych dzwoneczków, dzwiczących w ciszy nadrzecznej. Młody człowiek zwrócił ku niej wzrok i zapytał:

— Czy w tem jest coś nadzwyczajnego?

— Nie, odparła krótko Zamfira. Lecz czy pan nie boi się?!

— Czego mam się bać?

— Jakto czego? Sztimy!

— Sztimy?! A co to jest Sztima?

— Pan nie wie? Sztima! — Wodnica rzeki!!! — i oczy błyszczące utkwiała w niego.

Słońce zniknęło powoli. Woda straciła swą różnokolorową szatę, jakby posmutniała, stawała się ciemniejsza. Ptak nisko przeleciał, powoli kołysząc się na skrzydłach. Od czasu do czasu przerażające krzyki wyrwały się kędyś z ciszy zarośli. Dziewczyna przyglądała się bezustannie młodemu człowiekowi, a zęby jej błyszczały w demonicznym uśmiechu. Twarz jej nabrała nieco zielonkawych odblasków wód.

Co czuł młody człowiek w tej chwili — napróżno zgadywać; lecz urok opowieści wschodnich powstawał w wyobraźni i rósł z każdą chwilą.

W obramowaniu gąszczy szuwarów i lilii wodnych, pomiędzy dwoma firmamentami, na których lekko poczęły zapalać się pierwsze gwiazdy, ona z kwiatem lilii w lśniących włosach zdawała się sama być wodnicą, którą przed chwilą nazywała Sztimą.

Mocniejsze uderzenie w dziób łodzi ocknęło go z niemego zachwyty, w który pograżyła go piękność Zamfiry. Łódź zatrzymała się przed wysepką, porośniętą szuwarami i zasypaną zeschłą trzcina.

— Tutaj — zabrzmiał znów głos dziewczyny.

Skoczył lekko na ziemię, lecz nagle, jakby pociągnięty niewidzialną siłą, zawrócił do łódki. Był kompletnie porwany jej urokiem. Gwałtownie, nie wypowiadając ani słowa, chwycił głowę jej w swe ręce, chcąc wyczuć oczy głębokie, w których kryły się wszystkie tajemnice rzeki. Lecz Zamfira zrećnie wysliznęła się ruchem dzikiego stworzonka i ze drżeniem całego ciała i żywym śmiechem obróciła lekko głowę. Usta ich gorąco przywarły do siebie.

Młoda młynarka nagle wyrwała się z jego objęcia i rzuciwszy błyskawiczne spojrzenie, zniknęła z łodzią pomiędzy szuwary i lłany.

✱

Na wyspie wymościł sobie łożę z zeschłych traw i trzciny, nakrył je swym paltem, a następnie, aby upewnić się, zrewidował fuzję i w oczekiwaniu na kaczki zaczął rozmyślać o czym?... Co za dziw! Choć otaczała go wokół atmosfera tak przyjemna, wspaniała krajobraz napałwał jego oczy, budziły się wszystkie pragnienia szczęśliwej przyszłości i choć był świadom przelotności tego uroku, co go otaczało, jednak myśli jego wciąż wracały ku... wodnicy. Wiedział on dobrze, że ta czarodziejska rzeka nie mógł być nikt inny, tylko wnuczka młynarza.

— Zamfira, młoda dziewczyna, ogorzała od słońca i prawdopodobnie najwykolejsza wieśniaczka, jednak oczy jej, uśmiech, wszystko to posiadało „coś”, co go oszałamiało, jak woń dzikiego kwiatu...

W mroku coraz to gęstniejącym pozostała jak wizja na wodach rzeki wśród kwitnących nenufarów.

Świst skrzydeł ocknął go z zadumy. Drgnął. Stado kaczek przeciągnęło. Bezwiednie chwycił fuzję. Wzdłuż brzegów dał się słyszeć szmer lekki wieczoru. W lasku trzcinowym krzyki ptasząt, szelst skrzydeł dzikich kaczek rozlegał się coraz bardziej. Szmer cichutki i chrzęst dochodził z zarośli, młode stadka pierzchnęły w ciemności. Pociągnął za cyn-

giel. Strzał padł głucho i echem odpowiedział wdali. Jedna z kaczek oderwała się od stada i spadła na taflę wód, brzegając wokół tysiącami kropelek.

Ciemność stawiała się coraz nieprzenikliwsza, tak, że nie można było dojrzeć przeciągających stad. Słychać było tylko ich lot, szybki jak świst wiatru. Szmer wieczorne ucihły i znów spokój zstąpił na wody, tylko ptaki ciężkie, czarne krążyły dość wysoko, wydając przerażające krzyki: chau, chau!...

Od czasu do czasu w ciszy nocnej dało się słyszeć dalekie wołanie jakiegoś ptaka. Gwiazdy zapłonęły w górze, na niebie i w głębi wód. Do zjawienia się księżycy brakowało jeszcze przeszło godziny. Zawinął się w palto i na nowo zaczął dumać o głębokich, czarnych oczach. W niezmaconej cichości można było dosłyszec terkot młyna i plusk wód, spadających z grobli. Gdzieś naszczekiwał pies. Na wzgórzach w oddali pastuchy palili ognisko.

Obraz postaci delikatnej i zwinnej, uśmiech, kwiat lilii, co harmonizował tak pięknie z taflą wód i z zielonkawymi odbłaskami oczu czarnych — podniecały jego wyobraźnię. Teraz nie wydawała mu się zwykłą dziewczyną, wieśniaczką, spaloną od słońca i wiatru. Każdy ruch, każde spojrzenie miało coś specjalnego i ciekawego. Już od dawna przychodził do młyna, lecz nigdy nie widział jej; słyszał kiedyś o „małym djable”, lecz nigdy nie miał okazji ujrzeć jej. Przypominał sobie, że kiedyś przypatrywał się tym oczom błyszczącym, lecz dotąd nie zwrócił na nie uwagi.

Obserwowały go raz przez okienko w dachu młyna i teraz przypominał sobie doskonale, że ten sam ogień w nich płonął — były one pełne blasku i uśmiechu. Teraz, w tę noc głęboką palił go płomienno pocałunek.

Oczekiwał nie wiedząc na co...

I tak, myśląc o tej małej wieśniaczce, usnął. Gdy obudził się — spał bowiem dość długo — jasne światło miesiąca nappełniło przestworza i rzekę, posrebrzając jej powierzchnię. Woda lśniła. Noc była spokojna, młyn ucichł, tylko woda staczała się z głuchym łoskotem z grobli, lecz i ona jakby przycichła w nocnym śnie.

Oto, tam, bryzgi wody w świetle księżycy dawały srebrzyste odbłaski. Stada kaczek kąpały się w oświetlonych oczach jeziora. Porwał fuzję. Zmierzył i chciał strzelić — lecz w tym momencie wstrzymał się. Głos melodyjny, z dala dochodzący, dał się słyszeć. Piosenka monotonna, pospolita... lecz przestrzeń, echo i białe światło księżycy nadawało jej dziwny urok...

Natychmiast pomyślał o Sztimie. Odłożył na bok strzelbę i słuchał. Melodja prosta lecz słodka i harmonijna. I chociaż umilkła, on wciąż nasłuchiwał. Lecz uszu

jego dochodził tylko bulgot wód, spadających z grobli. Nie zdawał sobie sprawy, na co czeka tak niecierpliwie.

W tem napięciu nerwów usłyszał lekkie pluskanie wiosła. Jakby zbudzony ze snu głębokiego, obejrzał się wokół, nie mógł jednak zdać sobie sprawy, skąd dochodzą te odgłosy? Nareszcie z cienia zarośli wyłoniła się łódka. W potopie światła księżycowego, i zbliżała powoli ku wyspie; nieruchoma dziewczyna zdawała się płynąć w posrebrzanym pyłe promieni; kwiat lilii błyszczał w mieniących się czarnych włosach.

Chaos uczuć piętrzył się w jego duszy w sposób właściwy młodemu człowiekowi, zblazowanemu życiem miasta, a teraz nagle przeniesionemu na łono natury. Stał on z szeroko otwartymi oczyma i patrzył, jak obłąkany; ona była naprawdę wodnicą rzeki! Chciał krzyknąć, lecz w tej chwili zauważył, że zwróciła jednym ruchem łódkę, a wiosłem bryzgnęła cały deszcz świetlistych kropelek. Kierowała się ku wyspie. Zbliżała się z szaloną szybkością, oczy jej błyszczały, jak dwie fosforyzujące gwiazdy — nieruchome!...

Gdy zbliżyła się, łódź zwolniła bieg i zmieniając kierunek, przepłynęła obok wyspy, wśród śmiechu, podobnego dzwoneczkom srebrnym, niezapomnianym, pełnym uroku i harmonii...

Jak zjawisko przeszła mimo, nie zatrzymując się, a oczy jej z pod rzęs płonęły żywo, jak dwie gwiazdy w noc głęboką.

Uniosła się w łodzi; postać jej wspaniale zarysowała się w świetle księżycy. Rzuciła coś ku niemu, a następnie chwyciła znowu wiosła, bijąc powierzchnię wody, co zmacona uderzeniami zaczęła rozpryskiwać się na tysiące kropelek, odbijając księżycowe promienie. Zniknęła szybko. Słychać było tylko uderzenia wiosła, a potem i te wsaczyły się w ciszę nocy księżycowej.

Przed nim leżał bukiet kwiatów, wraz najwymowniejszy prostej duszy młodej wieśniaczki, w którym nie brakowało również kwiatu miłości...

✱

O świetle przybył stary, by zabrać go z powrotem.

Odchodząc stąd do domu, jeszcze raz zwrócił głowę ku czerniejącemu budynkowi młyna. Oczy czarne i błyszczące odprowadzały go przez malutnie okienko w dachu.

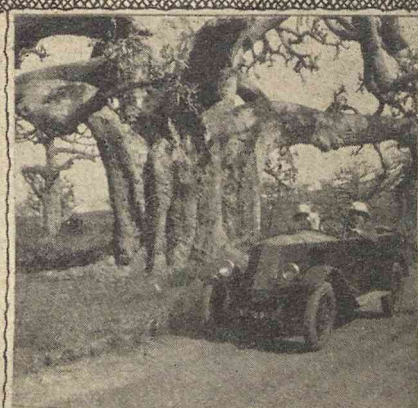
Tegoż dnia jeszcze młody człowiek pojechał dalej, chowając w duszy wrażenie tej nocy z opowieści wschodnich.

Nie zapomniał również wziąć ze sobą bukietika, z którego wyzierał lekko kwiat miłości...

Przetłumaczył:

George Chitulescu.

Polowanie na fakoszery.



W niedzielę p. Szablowski, dyrektor plantacji w Korofiu, obiecał nam urządzić polowanie na fakoszery. *)

Wbrew wszelkim przewidywaniom, p. Andrzej Brochowski i ja spaliśmy obaj wybornie. Ale obudziliśmy się przed piątą rano. Zerwałem się z łóżka i pobieglem do sieni, ażeby wyjrzeć przez okno; — pokoje sypialne w tym klimacie budują bez okien.

Poranek przedzierał się szybko przez mrok nocy. Olbrzymi krajobraz wyłonił się z niejasnej barwy indygo konturem gór, biała mgła, leżąca w dolinie, zatapiała plantacje bananów.

Niebo było silnie zachmurzone. Przez chwilę z poza chmur zaczerwienione oko brzasku rzuca spojrzenie po okolicy, wnet jednak gaśnie. Pogoda wymarzona: — nie będzie słońca, nie będzie upału!

Łykamy po filiżance herbaty, bo auto już czeka. Najwyższy czas: — kwadrans po piątej!

Maszyna mknie czerwonym torem drogi pośród falistych terenów podgórskich. Wszędzie ta sama typowa rzadka brussa — krzaki i niskie drzewka; gdzieniegdzie widać bukiety pięknych, wysmukłych drzew manghowych. Krajobraz zamykają rozległe łańcuchy gór.

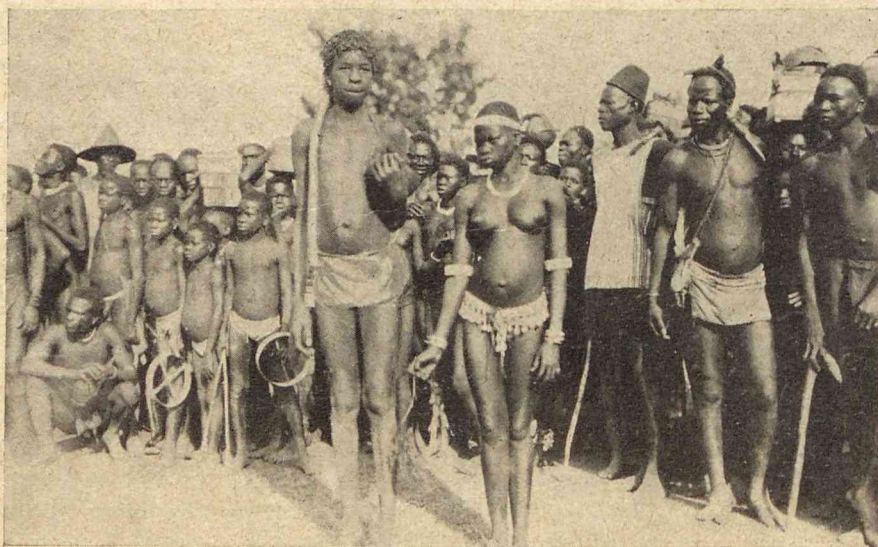
Popółgodzinie dojeżdżamy do pierwszych „plateau”. Jest to nagie pole, istne rumowisko laterytowe. Wszędzie ślady spalénizny po pożarach, które pochłonięły suche trawy nawet brunatny lateryt zdaje się być opalonym. Widok posępny, dziki, przerażliwy.

Maszyna zwalnia biegu. Gospodarz zwraca się do nas od kierownicy, szepce i wskazuje na plateau.

*) Dzikie afrykańskie.



PIĘKNOŚĆ MURZYŃSKA



MIEJSCOWY DYGNITARZ Z MAŁŻONKĄ

— Niech panowie pilnie obserwują okolicę — tu wczesnym rankiem żerują nasze dziki.

— Tutaj? — jesteśmy mocno zdziwieni.

— Tak, to ich ulubione miejsce pobytu.

Wysilamy wzrok. Napróżno. — Przed nami posępna równina, bez najmniejszego ruchu, bez żadnych oznak życia. Mijamy ją. Motor Citroën'a huczy znowu. — Ruszamy.

Kilkanaście kilometrów dalej — nowe plateau. Przecina je droga samotna, powiększając jeszcze wrażenie pustki.

Nagle wóz zatrzymał się gwałtownie.

— Tam — wskazuje p. Szablowski.

Pochylam się naprzód. Nie widzę nic.

Wtem pośrodku „plateau” coś poruszyło się. Radość uderza falą krwi do głowy. Biegnę kłusa! Fakoszery!

Idą w kupie z podniesionymi ryjami, wietrzą. Dostrzegły nas i nagle pomykają szybkim ściegiem galopu.

Wyskakujemy z auta. Gospodarz ustawia nas w tyraljerę. — Ruszamy naprzód. W aucie pozostaje pani Szablowska.

Fakoszery wciąż galopują. Prawe nasze skrzydło zabiega im drogę od linii

zieleniejących lasów, lewe — zmierza ku drugiemu pasmu zieleni. Ja i p. Szablowski posuwamy się prosto przez „plateau”. Zdaleka widzimy, jak zwierzęta przystają zwracając się ku nam niepewne, węszą, podnoszą w górę ryje. Najwidoczniejszą zdenerwowane. Instykt każe im trzymać się otwartej płaszczyzny.

Obijam sobie nogi o twarde, ostre głazy, wreszcie dopadam wstęgi zieleniejących akacji i nere. Cień drzew otula

mnie niepewnym chłodem. Z lewej strony Brochocki zagłębia się w zarośla, na prawem skrzydle nie widzę nikogo. Fakoszerzy również znikły.

Nagle huk strzału karabinowego obija się o kamienne rumowiska. Na prawo widzę białą sylwetkę w skoku. Wypada z pośród gąszczów suchych badyli i przecina brunatne pole „plateau”. Widzę, jak p. Szablowski pochyla się i uderza. U nóg jego drga brunatny kształt. Olbrzymi łeb, oczy osadzone gdzieś w tyle czaszki, brodawki rogowe i dziwnie monsturalnych rozmiarów ryj, z którego sterczą kły, zagięte w tył, niby jatażany.

Nagle z kępy suchych traw wypada antylopa. Widzę ją w skoku. Jeden moment wisi w powietrzu. Jest tak mała, że czyni wrażenie zabawki. Opada na kamienie i w kilku susach bierze przestrzeń.

Nagle spostrzega ją Brochocki, podno-

si dubeltówkę i pali łótkami na ośmdziesiąt kroków.

Jedno mgnienie oka: — widzę podcięte badyle i mała antylopa „biche” zapada się w brunatne rumowisko.

— Hurra! Hurra!

Od strony auta biegnie ku nam pani Szablowska. Za nią podążają dwaj czarni Su-su. Mleczno - różowa karnacja i jasne blond włosy jaskrawo odbijają na ich tle.

Bufet, przygotowany przez uroczą gospodynię, czeka na nas w aucie. P. Szablowska szykuje przekąski. Jest i Martel.

— Perswaduję w ręce panów — zwraca się do nas po kresowemu w centrum Afryki.

— Bynajmniej! — wykrzykujemy z entuzjazmem.

Plantacja Korofiudi

17/III.31. r.

Jarosław Proszyński

że on, pan Wiktor Brumer, brzydzi się tą bronią (zapewne jako mocniejszy ode mnie), i dodaje błyskawicznie, że taka walka „stoi poniżej mojej (t. j. jego) godności” i że z tego powodu on, pan Wiktor Brumer.. co robi?

Właśnie, co pan Brumer robi?

Ano, swoim wypróbowanym zachodnio-europejskim zwyczajem, wszystkimi, wyżej przytoczonymi epitetami zajadł mi... sobaczy. Pan Wiktor Brumer sobaczy, jak z płotka. Proklamował *sobaczenie* w artykule o Teatrach Miejskich. Prawdopodobnie sobacząc, czuje się pan Brumer w swojej skórze. Więc jazda! Sobaczy. Sobaczy mi od „dziubasów”, od „myślowych pustek”, od „pijanych” etc. i pławi się w rozkosznym przeświadczeniu, że *polemizuje*, że *argumentuje*.

Co tu dużo mówić! Zwyciężył. Przegrałem. Stało się. Już się nie dźwignę. Położył mnie dziubasem.

A przecież mogłem być właśnie ja zwyciężyć pana Wiktora Brumera i to zwyciężyć bez trudu. Wystarczyłoby mi nazwać pana Wiktora Brumera: „mały Wiktio-pikcio” i raz jeden do nazwiska Brumer przykleić określenie: *pupas*! Pupas, jak zarozumiałe mniemam, jest lepszy, niż dziubas. I byłbym pupasem najniezawodniej rozłożył pana Wiktora Brumera na amen i na wieczne wieki, coś kiedy mi ten argument intelektualny, niestety, nie przyszedł do głowy. I wyznaję zawstydzony, wciąż mi jeszcze na myśl nie przychodzi ten zabójczo świetny sztuczki wysokiej klasy polemicznej, bo na to, abym kogoś przekonywał argumentem *pupas*, musiałbym inaczej mieć skonstruowany aparat myślenia.

Wacław Grubiński.



DWA RAZY DWA JEST LAMPA

Muszę wyprowadzić z błędu pana Wiktora Brumera, który się łudzi od dłuższego czasu, że z nim polemizuję. Polemizować można z kimś, kto potrafi myśleć i kto myśl swoją umie wypowiadać. Omylną jest istotą człowiek i niema nieszczęścia ani wstydu, jeżeli się w polemice wyda taka omylność po jednej, czy po drugiej stronie. Człowiek umiejący myśleć przekonywa, albo daje się przekonać, i, zaiste, nie widzi w tem nic złego, że to jego przekonali, i że to nie on właśnie przekonał. Natomiast ktoś nie umiejący myśleć, nie nadaje się, niestety, do wszczynania z nim polemicznego sporu, jak owa Sienkiewiczowska dama, z którą niepodobna się skutecznie porozumieć nie dlatego, że dama ta utrzymuje, iż dwa razy dwa jest siedem, bo toby nie było jeszcze zbyt groźne, lecz dlatego, że dla tej szanownej damy dwa razy dwa jest lampa.

To też nie wszczynałem z panem Wiktorem Brumerem polemicznego sporu. Podkreślenie czyjegoś nonsensu, zresztą, i bez tego podkreślenia dla wszystkich widocznego, nie jest ani trochę czynnością polemiczną. To właśnie uczyniłem w stosunku do pana Brumera, który wydrukowaniem swojego nonsensu całą winę za obecny kryzys teatralny zwał na dramatopisarzy. Podkreśliłem nonsens i na tem skończyłem. Któżby chciał dyskutować z umysłem frazeologicznym, który mimo najlepszych i najusilniejszych chęci sam się nie może wyznać we własnym zamęcie! Jak wielki zaś chaos panuje w umyśle pana Wiktora Brumera, świadczy choćby ostatnie „polemiczne” jego „odcięcie się” rozstrzygającym argumentem

o moich *Kochankach*. „Kochankowie” — pisze p. Wiktor Brumer — „zawdzięczają swój sukces znakomitym artystom”. Czyli że bez znakomitych artystów *Kochankowie* nie zdobyliby sukcesu. Czyli że bez znakomitych artystów teatr nie odnosiłby sukcesów. Czyli, że marni artyści mogą sprowadzić kryzys teatralny. Czyli, że repertuar nie jest alfą i omegą teatru. Czyli, że zgola cudacznie pan Wiktor Brumer powołuje się na świetną interpretację *Kochanków* dla udowodnienia tezy, iż „repertuar jest alfą i omegą teatru”.

Co za beznadziejne niepojmowanie sensu własnych argumentów! Pan Wiktor Brumer po to wytoczył przeciw mnie argument, aby się tym argumentem ośobiście dorżnąć. Ośobiście i niechcący, zapalczywie i... nieświadomie.

P. Brumer następnie postanowił olśnić nas wykwentem swej pisarskiej kultury. Tedy w swoim artykule nazywa mnie „małym Wacuchną”; tedy przezywa mnie „dziubasem” (nie wiem, co znaczy ten wyraz); tedy powiada, że należę „do największych szkodników w naszym życiu teatralnym”; tedy twierdzi, że operuję „frazesami stylistycznymi, kryjącymi pustkę myślową autora *Niewinnej grzesznicy*”; tedy głosi, że każdorazowy mój „występ polemiczny jest strzałem kulą w płot”; tedy woła, że „jak pijany płota uczepiłem się jednego powiedzenia” tedy konstatuje, że jestem powierzchowny tam, gdzie pan Wiktor Brumer jest, oczywiście, bezden-ny; tedy mnie zawstydza, że walczę bronią słabszych, ponieważ staram się ośmieszyć poważny rozum pana Wiktora Brumera, przyczem natychmiast dorzuca,



Pan dyrektor banku był dziś w humorze. Dolary bez żadnego powodu poszły w górę, a papiery nie wiadomo dlaczego spadły. To, co wczoraj było mrowane, dziś nawet nie jest drewniane. Gotówka ucieka na łeb na szyję. Wpływy zmalały, rozchody się zwiększyły. Debet wali taranem w credit, konjunktury nikczemne.

Te pesymistyczne rozmyślenia przeżywała subretka:

— Panie dyrektorze, jakiś pan z bardzo ważnym handlowym interesem.

Dyrektor westchnął:

— Proś.

Do gabinetu wszedł blady młodzieniec z blond bródką i walizką w ręku.

— Co pan każe? — zapytał dyrektor, patrząc podejrzliwie na przybysza.

— Sprawa bardzo prosta — rzekł blady młodzieniec. Przychodzę do pana, jako do dyrektora największego banku.

— Z powodu?

— Pieniądze zawsze ciągną pieniądze. Przychodzę z wielkim majątkiem.

Dyrektor utkwiał wzrok w bladym młodzieńcu i rzekł trochę ironicznie:

— I chce pan ten wielki majątek ulokować w naszym banku?

— Zgadł pan.

— Co pan nazywa wielkim majątkiem?

— Wielkim majątkiem nazywam dwieście milionów.

Dyrektor zachwiał się. Djabeł nie śpi. A nuż. Wskazał fotel przybyszowi.

— Niech pan siada. To rzeczywiście, jak na dzisiejsze czasy, jest: wielki majątek.

— Zresztą nie obliczyłem dokładnie. Może będzie i trzysta.

— Trzysta? Proszę cygarko. Prawdziwe *young ladies*.

— Dziękuję, ale później.

Młodzieniec wprawna ręką utopił cygaro w kieszeni.

— To może jeszcze kilka na zapas?

— Proszę bardzo, dlaczego nie.

Pięć cygar powędrowało uroczyście do kieszeni młodzieńca.

— I wszystko to — rzekł dyrektor podając zapalnik — chce pan ulokować w naszym banku? A na jaki termin?

— To mi obojętne. To już pan dyrektor sobie wykalkuluje.

Dyrektor przycisnął dzwonek. Subretka wyrosła z pod ziemi.

— Czarna kawa i likiery — wydał rozkaz dyrektor.

— Ależ poco tyle kłopotu — bronił się multimilioner.

— To żaden kłopot.

Subretka zniknęła.

— I gdzież pan narazie ma ten majątek? — spytał ciekawie dyrektor.

— Narazie jest w tej walizce — odparł tajemniczo przybysz.

Dyrektor podskoczył, jak na sprężynach.

— Jakżeż można? Co za lekkomyślność!

— Głupstwo, panie dyrektorze. Mnie majątek nie imponuje.

Subretka zjawiła się z tacą, kawą, likierami, biszkoptami.

— Benusia czy piperment? — spytał uprzejmie dyrektor.

— Niech będzie benus.

Przybysz pił nie najgorzej.

— Czy pan ma to w dolarach czy w pierach?

— Co?

— No ten majątek?

Przybysz zamiast odpowiedzi nalał sobie trzeci kieliszek i zagryzł biszkoptem.

— Więc jak?

— Teraz się weźmiemy do tego drugiego

— To jest do kogo?

— Do tego pipermenta.

— Proszę, proszę. Ale ja się pytam, czy dolary.

— Co pan chce. Mogą być dolary, funty i franki.

— Aha, doskonale!

— To już zostawiam do dyspozycji dyrektora — to mówiąc przybysz połknął dziesiąty biszkopt i zapił pipermentem. Możemy zrobić na same dolary. A na razie wrócimy do benusia. Zawsze co benus, to benus.

— Przepraszam pana, jak to możemy zrobić?

— A no co dyrektor będzie wolał?

— Ja wolałbym dolary!

— Pycha, niech będą dolary.

— A teraz w tej walizce co pan ma?

— Właśnie. Tu jest cały sekret, który panu odkryję. W tej walizce mam już gotowy i zupełnie wykończony projekt na genialny wynalazek.

— Co takiego? — skoczył dyrektor, jak oparzony. Przecież pan mówił, że dwieście milionów.

— Panie dyrektorze kochany. Co to jest dwieście milionów — wołał trochę rozmarzony benusiem przybysz. Dwieście milionów to mucha. My zarobimy pięćset milionów. Pan wie, ile Edison zarobił na fonografie, Marconi na radjo...

— A Zabłocki na mydle, wiem panie.

— Panie, to jest wynalazek nad wynalazkami. Musi być w każdym domu. Musi, choćby nie chciał. A niech pan policzy, ile jest domów na świecie. No, niech pan policzy!

— Więc czego pan chce odemnie?

— Panie dyrektorze. Pan jest kochany, zacny człowiek, a benus znakomity, tylko szkoda, że go już nie ma. Ponieważ pan jest przedstawicielem solidnej firmy, ja dla pana wszystko, bo pan jest tego i owszem. Ja pana przypuszczę do spółki na ten genialny wynalazek. Pan mi zapłaci tylko tysiąc złotych. A potem dwieście milionów do podziału. Pan sto i ja sto. Sprawiedliwie. Równość i braterstwo.



Dyrektor zirytowany przycisnął dzwonek. Błdy młodzieniec, który pod wpływem benusia i przyszłych nadziei nabrał kolorów róży, ciągnął dalej niewzruszony.

— A jak będzie sześćset milionów, to po trzysta. A jak będzie miliard...

Subretka stanęła na progu.

— Schować cygara — krzyknął dyrektor.

— Tak, tak, schować — wołał energicznie młodzieniec. Ja już mam w zapasie.

— Zabrać likiery.

— Zabrać — komenderował wesoło młodzieniec przed kwadransem błdy, a obecnie czerwony. I przynieść nowe, bo tu już jedna buteleczka wyschła zupełnie.

— Panie, to jest oszustwo — wołał groźnie dyrektor.

Młodzieniec skrzywił się:

— Widzi pan dyrektor, to u nas tak zawsze. Dopiero jak zagranica mnie złapie, to pan będzie sobie włosy z głowy wyrywał. Będzie pan krzychał:—Co ja zrobiłem? Wypuściłem z ręki miliony. — Bo to jest wynalazek, jakiego nie było.

— Cóż to za wynalazek?

— Przepraszam, ale na sucho nie mogę.

Wynalazca łyknął kieliszek pipermentu.

— Wynalazek bajeczny, a prosty, bo jeżeli chce pan zrobić majątek, to tylko na prostych wynalazkach. Prosty, a niezbędny, jak telefon. Cobyś pan zrobił bez



Quizdrie na kryzys! radio mnie bawi

za 10 gr.
dziennie

telefonu? Pytam się pana, czy telefon jest potrzebny, czy nie jest potrzebny?

— Więc cóż to za wynalazek?

— Zaraz, bo mi wyszło w gardle.

Reszta zawartości butelki pipermentu przeszła przez gardło wynalazcy. Wreszcie postawił pustą butelkę i otworzył walizkę:

— Patrz pan i podziwiał. To jest przeziemnie wynaleziony „tackoszczot”. To jest tacka, która jest zarazem szczotką. Stanowi piękną ozdobę na biurko i może służyć za przycisk. Gdyby pan miał teraz pod ręką mój wynalazek, to jużby nie było tych okrucichów na stole.

— Panie, gdybym ja wogóle miał cokolwiek pod ręką, to jużby pana tu nie było — wrzasnął dyrektor.

— Domyślam się z tego, co pan mówi,

że pan nie reflektuje na mego współnika. Mogę opuścić na pięćset złotych.

— Przedewszystkiem niech pan opuści moje mieszkanie

— Dobrze. Jutro będzie we wszystkich pismach wywiad potęgi finansowej z wynalazcą.

— Idź pan do diabła!

— To może kochany pan dyrektor pożycz mi pięć złotych, bo nie mam drobnych przy sobie, a taksówka czeka.

Dyrektor zwrócił się do subretki.

— Dać temu panu pięć złotych i żebym go już nigdy nie widział.

Młodzieniec spojrzał smętnie na pustą butelkę, a zamykając walizkę rzekł z wyrzutem:

— To jest los polskiego wynalazcy.

Wincenty Rapacki.

Z ŻYCIA TOWARZYSKIEGO



Zaślubiny Artura hr. Tarnowskiego z Dzikowa z hr. Różą Zamoyską, córką ordynata Maurycego, w rodzimym Kłemenzowie w dn. 15 b. m. Ślub ten zgromadził licznych przedstawicieli naszej arystokracji

Narodziny Astronomji Eksperymentalnej

SZTUCZNA ZORZA POLARNA

Pięć tysięcy lat z górą trwało, zanim ludzkość na fundamencie obserwacji gwiazd zdołała zbudować ten cudowny gmach, jakim jest nowoczesna wiedza astronomiczna. I oto piorun Einsteińskiej teorii względności ugodził we wspólną budowę i wstrząsnął podstawami żmudnej pracy tysiącleci. Astronomowie pojęli, że cudowna gra sił ciężkości i promieniowania we wszechświecie jest nieporównanie bardziej skomplikowana, aniżeli mogliśmy dotychczas przypuszczać.

Wiedza nasza o ciałach niebieskich rozszerzyła się ogromnie od r. 1881, kiedy fizyk Goldstein, dzięki swym badaniom promieni katodowych, po raz pierwszy wykazał możliwość przenoszenia się małych cząstek elektrycznych ze słońca na ziemię. Ale wszelkie badania opierały się ciągle na starych, tradycyjnych metodach: na obserwacji i pomiarach dróg ciał niebieskich, analizie spektralnej światła gwiazd i na obliczeniach wszelkich zaobserwowanych zjawisk w wszechświecie z pomocą matematycznych formuł.

Profesor Birkeland z Oslo był tym uczonym, który pierwszy wpadł na pomysł eksperymentalnego badania zjawisk, obserwowanych we wszechświecie. W r. 1896 skonstruował on mały magnetyczny model ziemi i posługując się „sztuczną błyskawicą”, próbował badać naocznie zjawiska kosmiczne inne, niż światło i meteory. Dalsze kroki na tej drodze zawdzięcza wiedza norweskiemu badaczowi zorzy polarnej Stoermerowi. On właśnie jest twórcą nowoczesnej teorii zorzy polarnej, która to teoria bardzo znacznie wpłynęła na zmianę naszych pojęć o siłach, działających pomiędzy słońcem i ziemią. I Stoermer także zbudował z niesłychaną precyzją model kuli ziemskiej.

Wychodził on z następującego założenia: Jeżeli moja teoria zorzy polarnej ma racjonalną podstawę, w takim razie pole magnetyczne modelu musi dokładnie tak

samo wychwytywać moje sztuczne promienie elektronowe z miniaturowego słońca, jak pole magnetyczne ziemi wychwytyje promienie elektronowe słońca. Muszą więc powstać zjawiska świetlne, mianowicie cudowne formy łukowate, draperje itp., takie same, jakie widzimy w naturze, obserwując zorzę polarną.

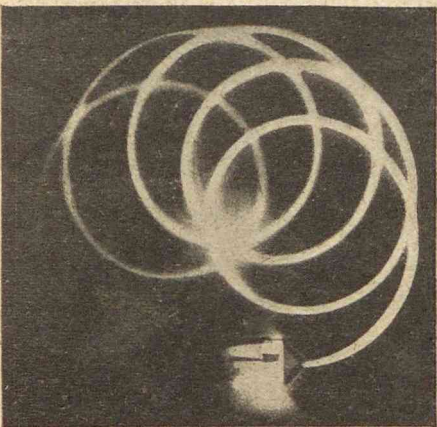
Wieloletnie usiłowania Stoermersa zostały uwieńczone pomyślnym wynikiem. Osiągnięte sztucznie zjawiska odpowia-

promieniową drogę elektronów, zaobserwowaną w przyrodzie. Tak więc nowoczesna elektrotechnika dowiodła ściśle, że zorza polarna jest to promieniowanie elektronów słońca, które, pochwycone przez siłę pola magnetycznego naszej ziemi, kierują się ku terenom biegunowym, a przenikając w dolne warstwy atmosfery, rozświetlają je. Pociski elektronowe, wychodzące ze słońca, podchodzą po skomplikowanych torach z góry i z dołu ku ziemi. Początkowo mają przecięcia kołowe, potem przedostają się w atmosferę, rozszczepiają się częściowo w płaszczyznę. W ten sposób tworzą się wspaniałe formy łukowate i draperje.

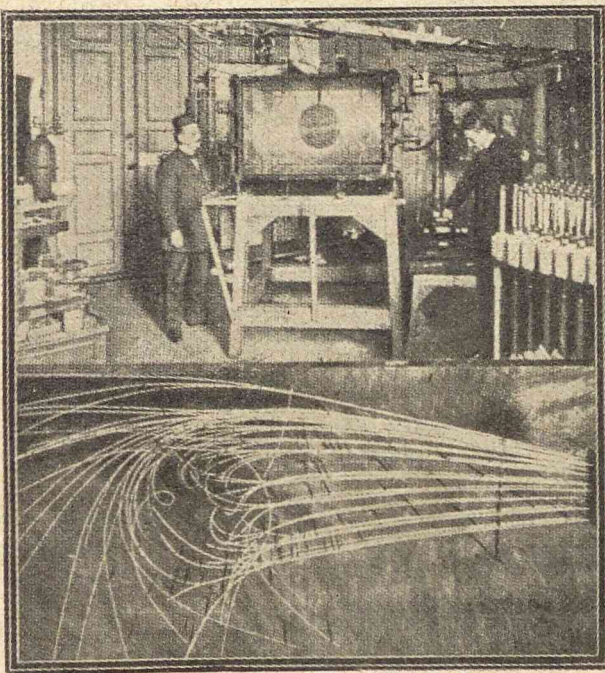
Eksperymentalne zbadanie zorzy północnej otwiera dalsze drogi do doświadczalnych badań astronomicznych. Świetny rozwój nowoczesnej techniki pozwala rokować najlepsze nadzieje. Zapewne, nie będzie to dzieło jednej ani dwóch generacji. Może przeminie chwila, kiedy wszystkie zjawiska wszechświata będzie można badać w laboratorjach. Jakże cudny będzie wówczas widok tych laboratoryjnych eksperymentów, gdy miniaturowe grupy gwiazd wirować będą przed okiem badacza swobodnie w przestrzeni, nie opadając na podłogę pracowni, podtrzymywane w powietrzu siłami ciężenia, tajemniczymi więzami magnetycznymi, promieniami elektronowymi i własną siłą odpychającą i rotacyjną. Coraz szerzej otwierać się będzie tak wąska jeszcze dzisiaj szczelina w drzwiach, zakrywających przed okiem człowieka tajemnice wszechświata, aż wreszcie kiedyś, może

po setkach lat—ale jakże krótki jest to okres czasu w porównaniu z astronomicznymi cyframi — uczony ujrzy w laboratorjum doświadczalne narodziny nowej gwiazdy, stanie się naocznym świadkiem największego cudu, największej tajemnicy przyrody.

St. I.



SZTUCZNA ZORZA POLARNA, WYTWORZONA PRZEZ PROF. STOERMERA



MODEL PROF. BIRKELANDA Z R. 1902

dały całkowicie rzeczywistym w przyrodzie. Wiedza astronomiczna weszła na nowe tory: udało się odtworzyć w laboratorjum maleńki fragment kosmicznych procesów. Ten niesłychany rezultat, tak odmienny od dotychczasowych obserwacji i teoretycznych dociekań, dał nauce od razu tyle nowych, interesujących faktów, że nagle dzięki temu obudziło się również wśród techników zainteresowanie astronomią. Matematyczna teoria Stoermerska pozyskała współpracowników, którzy oddali na jej usługi wszystkie zdobycze i środki, jakimi rozporządza nowoczesna elektrotechnika. Między innymi praca w dziedzinie radja oddała na usługi astronomji możliwość wytwarzania promieni elektronowych o wielkiej gęstości i jasności. Wykorzystano tu zwłaszcza oddziaływanie magnesu na ruch elektronów.

Przy pomocy ruchomych magnesów wszelkiego rodzaju można—jak się okazało—odtworzyć najdokładniej nie tylko pole magnetyczne w spoczynku, ale również jego poruszenia i zmiany jego intensywności. Jeżeli będziemy obserwować rysunki, jakie kresli na ekranie rury Brauna promień elektronowy pod wpływem poruszających się zewnętrznych magnesów, ujrzymy filmowo ruchomy obraz prawdziwej zorzy polarnej. Możemy w ten sposób odtworzyć dokładnie w laboratorjum każdą poszczególną, najbardziej skomplikowaną



WSPANIAŁA DRAPERJA POLARNA, SFOTOGRAFOWANA W HAMMERFEST

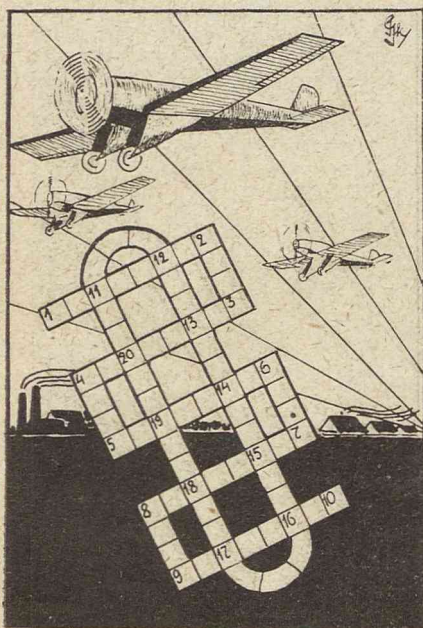
Artystyczne
fotografje
Klemensa
Składanka

○

Fraġmenty
z Kazimierza



Nr 63. PODZIEMNY LABIRYNT (Za rozwiązanie 3 punkty).



Litery, rozmieszczone w polach figury, tworzą 19 wyrazów.

Znaczenie wyrazów: 1—2. Kwiat, 2—3 Miasto rodzinne św. Franciszka Serafickiego, 3—4 Jeden z największych pisarzy polskich, 4—5. Imię słowiańskie, 5—6. Obszerne omawianie jakiejś sprawy, 6—7. Rzeka we Włoszech, 7—8. Rodzaj obronnego—ogrodzenia, 8—9. Miasto w Polsce, 9—10. Miasto w Polsce, 11—12. Uzdrowsko polskie, 12—13. Rasa psów, 13—14. Miejscowość nad Bałtykiem, 14—15. Kamień drogienny, 15—16. Ślad, 16—17. Pierwiastek chemiczny, 17—18. Inaczej: elegancja, 18—19. Organizacja kozaków zaporożskich, 19—20. Bóstwo greckie, 20—11. Południowy Słowianin.

Nr 64. UKŁADANKA (Za rozwiązanie 3 punkty)

ce	śmia	tak	by	czy	to	ser	spo	li
rze	do	skrze	czy	nich	wiel	po		
a	tu	mi	kich	toś				
	o	grom	się					

Figury, oznaczone w trójkącie grubymi liniami, ułożyć w ten sposób, aby utworzyły prostokąt, umożliwiający odczytanie 3-wiersza Wyspiańskiego.

KONKURS NASZ

dostępny dla wszystkich Czytelników, ma podwójny charakter: 1) współzawodnictwa przy rozwiązywaniu poszczególnych zadań i 2) turnieju wytrzymałości.

Za trafne rozwiązanie każdego zadania zalicza się odpowiednią ilość punktów i rozlosowuje jedną nagrodę.

Zdobywcy największej liczby punktów w ciągu kwartału otrzymują szereg wartościowych nagród.

Rozwiązania nadsyłać należy w terminie tygodniowym od daty każdego numeru pod adresem: Redakcja tyg. „Świata”, Warszawa, Szpitalna 12, Dział Rozrywek Umysłowych.

ROZSTRZYGNIECIE II KONKURSU KWARTALNEGO

Konkurs obejmował 36 zadań najrozmaitszych typów (krzyżówki, szarady, rebusy, zadania ilustracyjne, liczbowe, wirowe, kryształkowe, literackie, geograficzne, magiczne kwadraty, koła, gwiazdy, łańcuchy, układanki, rozsypanki, logogryfy, uzupełnianki, przestawianki, konikówki, zadania kratowe i schodowe), zamieszczonych w 13-tu zeszytach „Świata”.

Za trafne rozwiązanie poszczególnych zadań zaliczano odpowiednią ilość punktów i wylosowywano po jednej nagrodzie.

W konkursie wzięli udział, zdobywając podaną w nawiasach ilość punktów, następujący Czytelnicy:

pp. Adamska Marja (5) — Tomaszów Mazowiecki, Balańska Helena (7) — Wilno, Bażyńska Halina (7) — Strzemieszyce, Batke Irena (6) — Toruń, Bernaszkowski Wincenty (3) — Częstochowa, Berkmanowa Wacława (61) — Warszawa, Bielicki Józef (8) — Warszawa, Bielski Jan (5) — Trzemeszno, Blutstein Wacław (53) — Warszawa, Bobrowski Feliks (9) — Warszawa, Bojarski Tadeusz (16) — Warszawa, Boguszeńska Irena (70) — Warszawa, Boratyńska Helena (10) — Równe, Borowiecki Tadeusz (95) — Siedlce, Bugajska Marja (91) — Kłobucko, Chęcińska Jadwiga (4) — Poznań, Chojnowski B. (6) — Warszawa, Chortyńska Zofia (10) — Lwów, inż. Chortyński Mieczysław (10) — Lwów, Chojnowska Barbara (7) — Zakrzewo - Czaple, Czaputowiczowa Marja (27) — Zawiercie, Czerwińska Jadwiga (25) — Warszawa, Damsz B. (9) — Łódź, Daniszewski W. (3) — Warszawa, Denasiewicz Kazimierz (110) — Drohobycz, Działówna Marja (13) — Lublin, Foltowa Józefa (68) — Łódź, Fulde Stefan (6) — Warszawa, Fijałkowski Kazimierz (26) — Zgierz, Gegegnus Bohdan (7) — Warszawa, Gierzyńska Jadwiga (8) — Szewki, Golanowska Halina (6) — Baranowice, Golecka E. (20) — Warszawa, Grzybowska Antonina (6) — Mysłowice, Herbstmanowa Dorota (6) — Warszawa, Iwańczykowa Marja (37) — Sierpnie, Jagińkowska Zofia (39) — Kielce, Jakubowska Lili (17) — Żychlin, Jarkowska Aurelia (89) — Warszawa, Jarmulski Edmund (16) — Modlin, Jarmulski Saturnin (16) — Modlin, Jasiński Wacław (37) — Horochów, Jurkiewicz Eugeniusz (71) — Wilno, inż. Kamiński Bolesław (10) — Skarżysko - Kamienna, Kamiński Władysław (56) — Sochaczew, Karczewski Antoni (56) — Wołkowysk, Kasprzakówna Halka (8) — Toruń, Kawczyńska Marja (6) — Płock, Kleczkowski M. M. (80) — Sulejów, Kmiołkówna Zofia (6) — Zakopane, Kochanowski Jerzy (7) — Radom, Kociatkiewiczówna Zofia (108) — Warszawa, Komar Stefan (16) — Łódź, Komarówna Hanka (79) — Łódź, Kopeć Jan (45) — Warszawa, Krauze Józef (116) — Żyrardów, Krzeczowska Maryla (27) — Okopy św. Trójcy, inż. Krzyściak (8) — Toruń, Krzywowa Stefanja (5) — Warszawa, Krzyżanowski Stanisław (64) — Warszawa, Książkiewiczówna Józefa (7) — Warszawa, por. Kuik Józef (8) — Toruń, Kwiekowa Jadwiga (67) — Cukrownia „Do-brzelin”, Lisińska Henryka (41) — Stawiszyn Kaliski, Ludwicki Henryk (53) — Zagórz, Łodziński Tadeusz (7) — Lwów, Łukasiewicz Michał (67) — Białystok, Macuk Józef (4) — Sosnowiec, Macutkiewicz E. (7) — Warszawa, Malinowski Stefan (40) — Lwów, Maliszew-

ski Kazimierz (72) — Strzemieszyce, „Marek” (97) — Łowicz, inż. Modrzejewski Józef (104) — Lublin, Mokrzycka Helena (110) — Drohobycz, Moszczyński Edward (111) — Rembertów, Muszyński Henryk (9) — Piotrków, Dr. Nepomucki Florjan (6) — Brześć n/B., inż. Niepołomski Witold (16) — Warszawa, Okusko Ludwika (9) — Budziszew, Oleksińska Aleksandra (8) — Warszawa, Pannenka L. (10) — Warszawa, Piecha Franciszek (103) — Mikołów, Pisarski Alfred (54) — Warszawa, Pleyznerowska Helena (51) — Warszawa, Pogodziński Bohdan (8) — Henryków Warszawski, Pohorecka Marja (6) — Terebnie, Poskoczymówna Anna (6) — Wilno, Prawdzic Michał (40) — Warszawa, Pretkielowa Stanisława (10) — Warszawa, Prządowa Zofia (95) — Wilno, Rakowiecka Helena (84) — Lublin, Redel Józef (3) — Warszawa, Mr. Rostafiński Marjan (45) — Warszawa, Roykiewicz Wacław (91) — Warszawa, inż. Rucki Rafał (15) — Warszawa, Ruszkowski Henryk (60) — Krasnystaw, Rutkowski Witold (84) — Augustów, Rybczyńska Zofia (4) — Lublin, Saynog Janina (5) — Warszawa, Sobstel Henryk (87) — Warszawa, Sopijewski J. (6) — Warszawa, Staron Józef (23) — Ostrołęka, Starzyńska Janina (6) — Częstochowa, Stasiewicz Czesław (53) — Równe, Suchocka L. (8) — Sochaczew, Sułkowska Leontyna (55) — Warszawa, Sułocka Janina (117) — Zgierz, Synowicz Karol (10) — Kraków, Szeferowa Nela (6) — Drohobycz, Szramski Kazimierz (9) — Leśnictwo Osiekrowskie, Szwecowa Józefa (16) — Leszno, Śląska Barbara (44) — Ciuslice, Dr. Świerczek Stanisław (40) — Gniezno, Tietz Zygmunt (53) — Warszawa, Tobias Henryk (65) — Kielce, Trawińska Honorata (88) — Warszawa, Tyblewski Wacław (38) — Poznań, Uleyski N. (5) — Włocławek, Urbańska Halina (17) — Lwów, Węgierski Tadeusz (64) — Miłosna, Węgrzynówna Jadwiga (10) — Solarnia, Wierzbicki Edward (4) — Warszawa, Wiśniewska Teofila (50) — Warszawa, Wołkowska I. (6) — Kosów Poleński, Zagajewski Adam (80) — Warszawa, Zakrzewski Leon (61) — Radom, Załeski Czesław (92) — Kalisz, Zawadzka Anna (46) — Ciechanów, Zborowska Teresa (81) — Warszawa, Zmigradzka L. (5) — Biała Podlaska, Życzynski Bohdan (78) — Nowogródek, Żukowska Irena (50) — Warszawa.

NAGRODY

za zdobycie największej liczby punktów przyznano:

p. Janinie Sułockiej ze Zgierza — „Poezje” A. Mickiewicza, 4 tomowe wydanie Stanisława Pigonia;

p. Józefowi Krauze z Żyrardowa — „Zamek Warszawski” A. Króla, w oprawie z 111 rycinami;

p. inż. Józefowi Modrzejewskiemu z Lublina — „Zamek Warszawski” A. Króla, w oprawie z 111 rycinami;

p. Edmundowi Moszczyńskiemu z Rembertowa — „Poezje” A. Mickiewicza, 4-tomowe wydanie St. Pigonia;

p. Helenie Mokrzyckiej z Drohobycza — kwartałna prenumerata „Świata”.

CO CZYTAĆ?

„SZTUKA I ŻYCIE“, „TĘDY“, „WALKA O TEATR“.

Niemal niemal człowieka o jako tako wykształconej świadomości, by nie skonkretyzował w sobie pojęć o pięknie. Gdy zbliżamy się do teoretycznych wskaźników estetyki, poddajemy kontroli własne zapatrywania. Nastawienie intelektualne przechyla w nas zainteresowanie do jakiegoś określonego typu estetycznego. Historia estetyki zna przecież kilka zasadniczych ujęć tych zagadnień! Popularnie wyraża się to w dwóch hasłach: sztuka dla sztuki lub sztuka dla życia. Im umysł stoi wyżej pod względem wykształcenia, tem subtelniej potrafi sobie określić tak filiacje, jak i różnice tych pojęć.

Zawsze dlatego też z przyjemnością czyta się wszelkie uwagi, dociekania, analizy na temat sztuki i jej stosunku do życia. Obecnie wydał p. Stanisław Fałat nie dużą, lecz zwięzłą książkę p. t. „Sztuka i życie“, zawierającą jego estetyczne refleksje. Niewątpliwie zaciekawią one ludzi, lubiących rozmyślanie na te tematy.

Autor ujmuje swoje sądy w aforystyczne zdania, motywując je przesłankami przekonaniowemi. Jego sądy nie parają się naukowością, nie szukają dowodów emocjonalnych, doświadczalnych, historycznych, socjologicznych. P. Fałat przytacza argumenty swoich zapatrywań bez

dociekań teoretycznych! Uważa siebie za kryterjum, jego refleksja wystarcza mu w zupełności do sformowania zdania. Przypomina tem Nietzscheańskie sposoby aforystycznego wykładu

P. Fałat twierdzi, iż „piękno jest to, co życie człowieka czyni czystem, jasnym, zdrowym, radosnym“. O sztuce zaś wogóle mniema, iż „wydobywa na jaw to, co w życiu najpiękniejszego, a tem samem, co wartość życia stanowi“.

Definicje te nie mogą spotkać się z przeciwnem. P. Fałat szczerze pojmuje zadania sztuki!

Ukazała się czterystostronicowa książka p. Tadeusza Peipera p. t. „Tędy“. Jest to zbiór artykułów tego teoretyka „nowej“, „zwrotnicowej“ sztuki. Oddziaływanie „masy, maszyny i miasta“ wydaje mu się istotą nowych emocji artystycznych. P. Peiper w „tworach ludzkich wielbi człowieka“, co nie jest nowością, a trąci raczej truizmem. Wiele poświęcił on miejsca dyskusjom, polemikom, dygresjom, by wyjaśnić swój stosunek do futuryzmu, poezji proletariackiej, techniki, kina, radja, ciała, sportu, metafory i t. d.

Książka p. Peipera jest dokumentem usiłowań nie zawsze zrealizowanych, ale mających swoje źródło w tendencji przebudowy emocjonalności i stworzenia nowej artystycznej formy.

Ze spuścizny po ś. p. Adamie Zagór-

skim, znanym krytyku teatralnym, skomponowano książkę p. t. „Walka o teatr“. Pisarz ten żywo interesował się zagadnieniami sceny, widowni, dramaturgii, reżyserji, dekoracji. Przez kilka sezonów był czynny jako kierownik literacki, dyrektor. Miał więc możność poznać wszechstronnie ten dział sztuki. Jego sądy w wielu wypadkach posiadają charakter dokumentaryczny. Takie artykuły, jak „upadek teatru warszawskiego“, „nie był legendą Tadeusz Pawlikowski“, „Teatr przyszłości“, stwierdzają wyraźnie chwilę ich powstania i potrzebę napisania. Adam Zagórski brał wydatny udział w dyskusjach nad organizacją życia teatralnego w Warszawie, choć był w stolicy nowicjuszem. Lwowianin z urodzenia przyjechał do Warszawy podczas okupacji niemieckiej. Szybko zorientował się w stosunkach i potrafił wysunąć się, jako sprawozdawca teatralny. W książce jego większość prac, to sprawozdania z premier. Są one również ciekawe i będą w przyszłości ważkim przyczynkiem do zrozumienia życia teatralnego w Warszawie w przełomowy moment powstania państwa, krystalizowania się wszystkich organizacji społecznych i politycznych.

„Walka o teatr“ jest jedyną prawie spuścizną po ś. p. Adamie Zagórskim. A był on przecież, jak dziennikarz, publicysta pracownikiem wydajnym, wszechstronnym. E. C.

SCHERK
BERLIN NEW YORK WIEN



„Jestem doprawdy zachwycona,

twarz nabiera młodocianego i świeżego wyglądu.“ W liście tym powiada pewna pani zupełnie słusznie, że

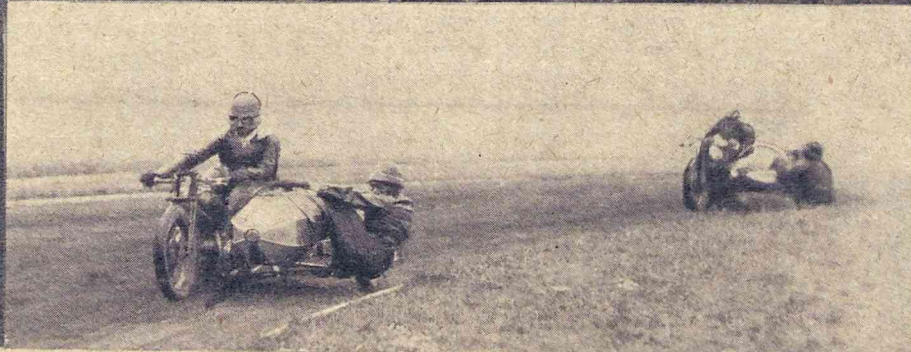
**Scherk
Face
Lotion**
(Woda do twarzy „Scherk“)



jest doskonałym środkiem do pielęgnowania cery, ponieważ usuwa zaczerwienienia, wągry, oraz wszelkie nieczystości i czyni cerę zupełnie gładką. Dołączona do każdego flakonu broszurka „Piękna twarz“ zawiera cenne wskazówki. — Dla panów po goleniu! Zapobiega zakażeniu i paleniu skóry.

Próbkę bezpłatną

otrzyma każdy, kto nadesłże niniejsze ogłoszenie do firmy Statter i Klapholz ul. św. Gertrudy 6 Kraków, lub powoła się na to pismo i poda swój adres, dołączając znaczek pocztowy za 25 gr na koszt przesyłki.



Motocyklowy wyścig górski w Wiśle na G. Śląsku. Ogólny widok na trasę. Grupa zwycięzców: Nr. 37 Breslauer (S. K. N. Katowice) Nr. 27 Bogusławski (Katowice), 38 Schneeweiss.

Bieg motocykli z wózkami po torze ruchomym. Na pierwszym planie zwycięzca biegu Veckredt na Rudge i w głębi Stark na Mathles.

Zawody o mistrzostwa Wioślarskie w Bydgoszczy w dn. 25 i 26 Lipca r. b. Mistrzostwo Polski w Brdy-uściu. Mistrzowie Polski w 2-kach: Grabowski, Szelągowski, sternik Kawalec.

Jedynki pań wygrała pani Grabowska (Warsz. Klub Wioślarek)

Mistrzostwo Polski pań wygrała osada Warsz. Klubu Wioślarek pod sterem p. Kożuchowskiej.



Z ŻAŁOBNEJ KARTY



Ś. P. POR. PILOT 3 PŁKU LOTNICZEGO W POZNANIU, WITOLD WIZE, ZGINAŁ W KATASTROFIE LOTNICZEJ W WARSZAWIE, W DN. 24 BM.

Czech o Francuzkach

Wybitny pisarz czeski, Gustaw Winter, wydał ostatnio świetne studjum o Francji^{*)}, w którym cały rozdział poświęca kobiecie francuskiej. Ciekawe, że opinie jego całkowicie zgadzają się z poglądem na Francuzkę naszych polskich obserwatorów i są w zupełnej rozbieżności z pojęciami, jakie można powziąć o Francuzkach na zasadzie literatury francuskiej.

„Ta rozsądna, poważna, grzeczna, pracowita i lojalna istota jest zarówno daleka od nierealnej Elviry Lamartine'a i kapryśnych, rozbawionych bohaterek Musset'a, jak od *Madame Bovary*, od *Nany* czy od *La Garçonne*” — pisze p. Winter. I tłumaczy błędne przedstawienie charakteru kobiecego przez autorów francuskich zamięświeleniem do poszukiwania wyjątków i unikaniem przeciętnego typu, wyłaniającego się ze zbiorowości narodowej, społecznej i seksualnej.

Tymczasem Francuzka nie jest wcale lekkomyślna, frywolna, kochliwa i niewierna — jak ją malują noweliści i romansopisarze, lecz odznacza się zamięświeleniem

^{*)} „Kniha o Francii”. — Aventinum — Praha.

waniem do porządku, oszczędności, spokoju i pewności jutra.

Jedyną cechą, którą mogła naprowadzić na wypaczanie jej oblicza duchowego w literaturze — to „kobiecość”. „Francuzka jest kobietą par excellence. Przychodzi ona na świat z żądzą podobania się — w najlepszym znaczeniu tego słowa — i to, co cudzoziemiec bierze za frywolność czy rozkapryśnienie — wypływa jedynie z naturalnego instynktu podobania się. On jest inspiratorem tego gustu kobiecego, który objawia się w równej mierze na wszystkich stopniach społecznych. Młode robotnice z fabryk, panienki z magazynów, urzędniczki biurowe są ubrane z niemniejszym gustem od bogatych dam. Ileż to nieraz wymaga poświęceń! Ileż nocy nieprzespanych idzie na zrobienie z resztki materiału, nabytej na wyprzedzży w wielkim magazynie, czegoś, coby odpowiadało ostatniej modzie”.

Ten zmysł kobiecości i chęć wrodzona podobania się uczyniły z Francji źródło i mistrzynię mody. Stąd też pochodzi sztuka makijażu, rozpowszechniona we Francji, jak nigdzie na świecie. Perfumy, pudry i róże reprezentują setki milionów w bilansie handlowym Francji.

Żądza sztucznego upiększenia się — pisze autor czeski — jest tembardziej zrozumiała, że prawdziwej urody nie spotyka się często we Francji. Francuzki są miłe, zgrabne, czasem ładne, bardzo rzadko piękne. Kosmetyki stają się więc korektywą niedoskonałości naturalnych. „Nie być brzydką” — oto pierwsze przykazanie życiowe Francuzki.

Pozatem jednak jest ona doskonałą panią domu, starającą się uprzyjemnić życie rodzinie i stworzyć ognisko domowe. Poczucie taktu, dobre manjery, umiejętność znalezienia się w towarzystwie — właściwe są kobietom ze wszystkich sfer. Ktoś powiedział, obserwując zachowanie się prostych kobiet, siedzących wieczorkiem przed domem: „Elles tenaient salon, près du ruisseau”.

Inną cechą Francuzek jest ich niezmqdowanie w pracy. Zarabiając poza domem, umieją one prowadzić gospodarstwo, dbać o dzieci i pamiętać o własnym wyglądzie. „Obserwując Francuzki przy pracy, nie można nadziwić się ich talentowi organizacyjnemu i darowi inicjatywy”. To wszystko odpowiada ich założeniu życiowemu: „Mieć dobrą sytuację i o ile możliwości pewną — oto ideał, do którego dążą w małżeństwie; miłość i harmonja uczuć są pożądane, ale niekonieczne”.



SUCHY SZAMPON
MIRIS
ODTŁUSZCZA SZYBKO i WYGODNIE WŁOSY i NADAJE FRYZURZE PUSZYSTOŚĆ!
J. & S. STEMPNIEWICZ-POZNAN

Jakież są inne jeszcze właściwości kobiety francuskiej? Gustaw Winter podkreśla przy końcu charakterystyczne zjawisko: „Mało jest krajów, w których by kobiety wywierały tak wielki wpływ na sztukę, politykę i nawet naukę, jak we Francji. Ale prawie zawsze działają one jako inspiratorki, a nie jako wykonawczynie”.

Ten ukryty za kulisami wpływ kobiet, niewysuwanie się ich na publiczną arenę walk, jest istotnie dla Francji objawem zmiennym. Tem się tłumaczy brak silnego dążenia do uzyskania praw wyborczych. Poco wystawać przed urną z kartką, wypisaną przez mężczyznę, skoro skuteczniej oddziałuje się na kierunek jego myśli i czynów w intymnym współżyciu.

i.

Do bieżącego zeszytu dodajemy dla prenumeratorów „Świata”, którzy opłacili abonament za miesiąc lipiec r. b., interesującą powieść Filipa Macdonalda p. t.

„PATROL”

Pisarz ten znany jest ze swojej atrakcyjności wśród szerokich rzesz czytelników Europy i Ameryki

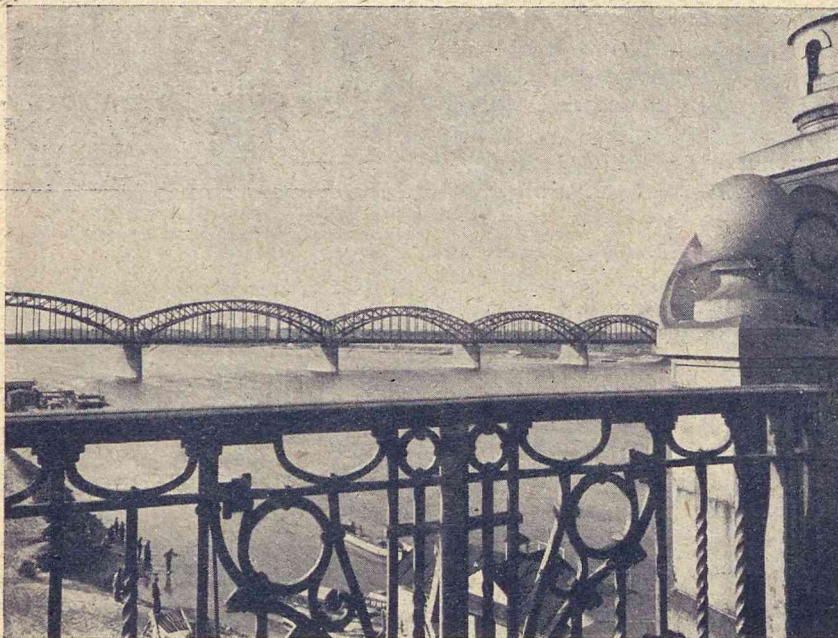


CZEKOLADA z PAPUGĄ

1 zł. - 100 grm.

COŚ NOWEGO!





NOWY MOST KOLEJOWY W WARSZAWIE. ZDJĘCIE Z MOSTU PONIATOWSKIEGO

Fot. Jan Malarski

TAM KUPUJCIE!

Proszę skosztować!

W szeregu potraw ze świeżych jarzyn, które niedługo już zaczną być na czasie, nie zawadzi może spróbować następującej:

Oczyszczone z niepotrzebnych listków pory pokrajać w niewielkie kawałki i obgotować w wodzie przez parę minut, osączając potem na durszlaku. Zrobić gęsty beszamel z łyżki masła z łyżką mąki, rozebrany mlekiem, wbić doń całe jajko i dobrze wymieszać. Część tego beszamelu położyć na spód rondla, na to ułożyć pory i dusić do miękkości. Pod koniec włożyć resztę beszamelu, posypać bułką tartą, dać na wierzch parę kawałeczków masła i przez 15 minut piec pod blachą. Dobrze na „entrée” przed zupą.

M.

PROSZEK „KOGUTEK”
DLA DOROSŁYCH

USUWA NAJUPORCZYWSZY BÓL GŁOWY

OSTRZEŻENIE! Chcąc nabyć proszek naszego wyrobu, należy przy kupnie akcentować i wyraźnie żądać oryginalnych proszków „Kogutek” Gaseckiego, znanych od lat trzydziestu. Zwracajcie uwagę i odrzucajcie uporczywie polecane naśladownictwa w ładach podobnym do naszego opakowaniu. Najlepiej żądać proszków KOGUTEK-MIGRENO NERVOSIN w naszym oryginalnym opakowaniu po 6 sztuk w pudełeczku. Cena 75 gr. Osoby, dla których przyjęcie proszka sprawi pewną trudność, mogą przyjmować proszek KOGUTEK-MIGRENO NERVOSIN w formie tabletek (2 tabletki odpowiadają jednemu proszkowi). Opakowanie po 20 tabletek i st. 50 gr. żądać tabletek KOGUTEK-MIGRENO NERVOSIN w oryginalnym opakowaniu GASECKIEGO.

HUMOR ZAGRANICZNY



— Czy mógłby pan zatrudnić mego syna w swoim interesie?

— A cóż on umie?

— Co za pytanie! Gdyby coś umiał, wziąłbym go do siebie.

PENSJONAT „LECHJA” CELINY WASILEWSKIEJ

ŻÓRAWIA 31, I piętro. Tel. 643-98

3 min. od Dworca Gł., 3-ci dom od Marszałkowskiej. Lokal zremontowany, pokoje jasne, wygodnie urządzone, z całodziennym utrzymaniem

KSIĄŻKI, NUTY, MODY
W KSIĘGARNI
M. ARCT Nowy-Swiat 33

Wyborowe **PIWA, PORTER i WÓDKI**
HABERBUSCH & SCHIELE & Co.
ŻADAĆ WSZĘDZIE.

PRZEBORY PODRÓŻNE
 GALANTERJA SKÓRZANA
J. KUCZMIEROWSKI
108 MARSZAŁKOWSKA 108

WARSZAWSKA WYTWÓRNIA TRYKOTAŻY
Tricot
MARSZAŁKOWSKA 129 TEL. 42-83.9435

REKLAMA JEST DUSZĄ HANDLU

ZABURZENIA W TRAWIENIU PRZEWLEKLE, UPORCZYWE ZAPARCIA STOLCA ORAZ NADMIERNA OTYŁOŚĆ BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB ZMIANY TRYBU ŻYCIA, USUWAJĄ „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA” z KOGUTKIEM. SPRZEDAJĄ APTEKI I SKŁADY APTECZNE - GŁÓWNY SKŁAD APTEKA A GASECKIEGO W WARSZAWIE UL. FRETA 16

HEMOROIDY!

CZOPKI HEMOROIDALNE GĄSECKIEGO

"VARICOL"

(z KOGUTKIEM)

USUWAJĄ BÓL, KRWAWIENIE,
SWĘDZENIE, PIECZENIE,
ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYŁAKI).



HEMOROIDY ZEWNĘTRZNE

(GUZY ZEWNĘTRZNE) NALEŻY LECZYĆ MAŚCIĄ Z PRZEPISU POPOWSKIEGO

— SPRZEDAJĄ APTEKI —

WŁOSÓW wypadanie, łupież, łysienie usuwa
„Esencja Chinowo-Chmielowa” i „Mydło Chinowo-Chmielowe”
(z kogutkiem). Sprzedają apteki i składy apteczne.

Chcesz mieć w
czystości utrzy-
mane mieszkanie
kantor czy biuro
korzystaj ze stałych
usług firmy

I. Elżanowska

Kantor czyszczenia okien wystawo-
wych, wstawiania, kitowania szyb,
cyklinowania i froterowania posadzek,
reparowania linoleum, odkurzania
mebli, dywanów elektrycznymi odku-
rzaczami. Pakowanie okien na zimę

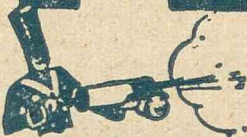
WARSZAWA,
ŻÓRAWIA 39 — 10.
Telefon Nr. 290-32

FLIT



niszczy wszelkie owady
szybciej

FLIT



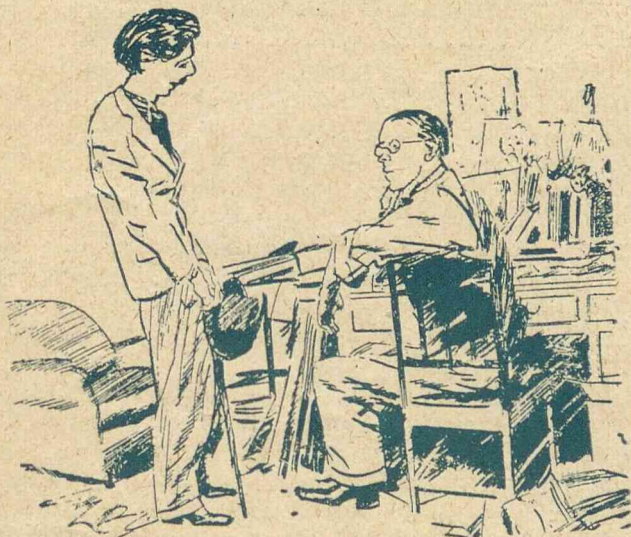
najlepsza ochrona od
robactwa

FLIT



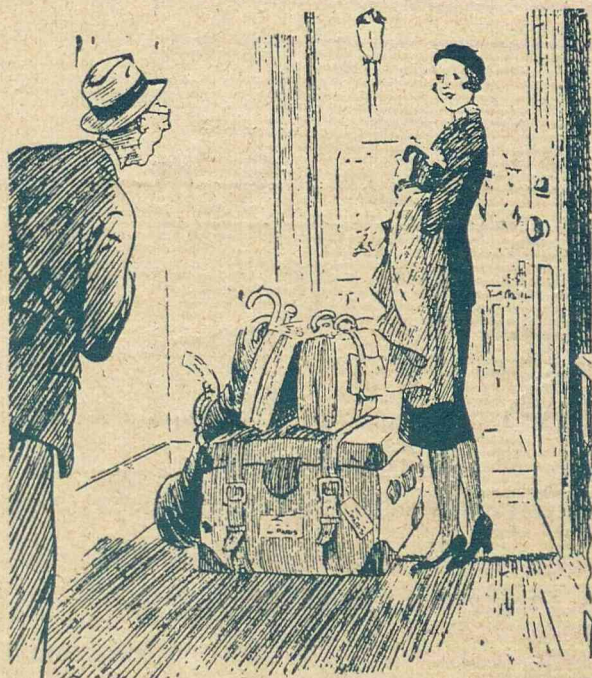
w żółtej blaszance z
czarną opaską

HUMOR ZAGRANICZNY



MŁODY AUTOR: Nie chciałbym się chwalić, ale mi jeszcze
nie odesłano ani jednego rękopisu.

REDAKTOR: Jaka strata! Pan zapewne nie załącza znaczków
pocztowych na odpowiedź.



— Kotuś, gdzieś położyła mój paszport zagraniczny?

— Możesz być o niego spokojny. Jest na dnie wielkiego kufra.

ECHA LEŚNE

MIESIĘCZNIK
VIII ROK
ISTNIENIA

ORGAN ZWIĄZKU ZAWODOWEGO LEŚNIKÓW RZPLITEJ POLSKIEJ

POD REDAKCJĄ

LEONARDA CHOCIŁOWSKIEGO

DZIAŁY: Leśny, handlowo-gospodarczy, powieść nowela, poezje, feljetyony wybitnych autorów polskich. Bogato ilustrowana rubryka sportowa, radiowa, automobilowa, z niwy leśnej, ze świata. Wiadomości i artykuły z przyrody i techniki oraz popularno-naukowe. Żywy i wszechstronnie ilustrowany przegląd wydarzeń życia polskiego i zagranicznego. Dział rozrywek umysłowych i humoru oraz kącik dla Pań. Dodatki „Echa Łowieckie” i „Niwa Leśna”

Estetyczne, bogate w ilustracje i aktualną treść czasopismo poświęcone propagandzie leśnictwa polskiego w kraju i zagranicą

Prenumerata roczna tylko zł. 14

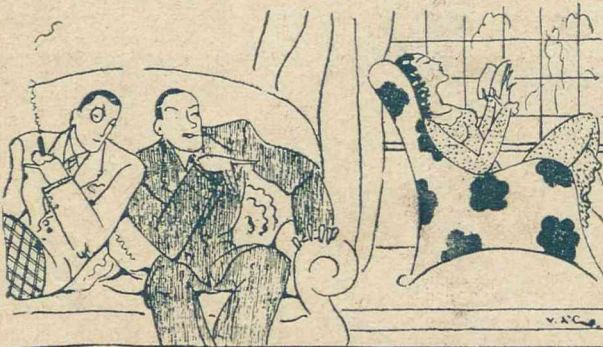
REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Warszawa, Nowy-Świat 36.

Konto w P. K. O. Nr. 737

Prospekty i numery okazowe na żądanie. **Sprzedaż we wszystkich kioskach**

HUMOR ZAGRANICZNY



— Pesagu to ona nie ma. Ale ma ciotkę miljonerkę.
— Przedstaw mi ciotce.



Za cenę biletu
II KLASY
możemy podróżować
SAMOLOTAMI
PLL „LOT” TEL. 547-60.

CENY OGŁOSZEŃ

Okladka I tyt. Zł. 700.—
" II " 600.—, 1/2 300.—, 1/4 150.—, 1/8 75.—
" III " 450.—, 1/2 225.—, 1/4 112.50
" IV " 600.—, 1/2 300.—
Przed powieścią. Zł. 600.—, 1/2 300.—, 1/4 150.—

Ceny ogłoszeń w numerach specjalnych oznacza się dla każdego numeru oddzielnie.

Hurtownie „Świata”: dla prowincji Tow. „Ruch”, Sp. Akc. Warszawa, Al. Jerozolimska 63, telefon 670-87,
dla Warszawy: „Czytajcie” Krak.-Przedm. 60 Tel. 210-00.

Ogłoszenia w tekście i z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej.
Kronika towarzyska za 1 mil. szerok. jednej szpalty 2 zł.
Dział Tam Kupujcie „ ” „ ” 1 zł.
I-sza strona tekstu (obok artykułu „wstępnego”) za 1 mil.
szerokości jednej szpalty 3 zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA” PRZYJMUJĄ:

W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA”

Szpitalna 12. Tel. Administracji 504-00 i 501-51

KONTO CZEKOWE P. K. O. 3755

ORAZ WSZYSTKIE WIĘKSZE KSIĘGARNIE

W ŁÓDZI: Biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ”, Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj”, Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszer, ul. Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszer, Poprzeczna 1. W ŁWOWIE: Oddział Tow. „Ruch”. POZNAN: ul. Gwarna 18. Centrala Gazet L. Robowska. CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 6.— zł., z odnoszeniem do domu 6.50 zł., na prowincji miesięcz. 7.— zł., kwartalnie 21.— zł., Zagranicą miesięcznie 9.— zł.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI 1 zł. 40 gr.

Druk. Galewski i Dau, Warszawa